

- Nie chcemy dostępu do morza
- Siły na zamiary
- Żegnaj, monsieur Hulot!
- W kręgu fantastyki

Dorota Chróścielewska



Takie czasy Fortuna włącz foczy
swoje koło lecz losu nie zmienia
Dobre Wróżki zsyłały ongiś
ślicznym dzieciom ziarenko cierpienia

Takie czasy Dziś gdy zamieramy
z lęku Kiedy płaczymy w ciemności
Dobra Wróżko ześlij mojej córce
choć najmniejsze ziarenko radości

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Wiertacze Pudełki

Temat wypadł przypadkiem. Plan był już właściwie wykonany, ale zdeglustowanej byliśmy tą karlińską gazową „zapalniczką” zdecydowanie. Asfaltowym duktem w minorowych nastrojach jechaliśmy w kierunku Kołobrzegu. Z przyzwyczajenia Mirek Zajdler załadował kolejny film do aparatu. — A może by skoczyć do tych wiertaczy? — kiwnął głową w kierunku lasu, znad którego widoczna była odległa o kilka kilometrów koronka jakiejś wieży. Triangulacyjnej jakby. Rasowy paparazzo liczy widać na parę efektownych zdjęć przed zachodem słońca. A właściwie czemu by nie?...

Franciszkiem Baładynowiczem. Młode chłopaki, „trzydziestki” nie mają jeszcze ale ten maszt wciągnął ich już na całe życie. Jestem tego pewien po paru minutach rozmowy. Pracowicie, wymieniając dyskretnie kpiące lekko spojrzenia, tłumaczą laikowi tak „proste” sprawy jak głębokość zalegania dolomitu czy różnicę między klasycznym świrdrem a diamentową koronką. Kierownika wiertni słynnego już w kraju ze szczęśliwej ręki Wojciecha Pudełko, akurat nie ma. Wyjechał załatwić dostawę cementu czy jakiejś piły. Trudno, musimy dać sobie radę sami, ale wiem, że tematu już nie opuścę...

— Tak jest, to my robiliśmy ten kierunkowy otwór R-3, odwołany bodaj o 300 metrów od słynnego „Daszewa”. I n.c. Potem przeskoczyliśmy na „Białogard-3”, w prostej linii jakieś 4-5 kilometrów od tego sztybu. — z elizy, tam chyba z 19 miesięcy zesłaliśmy w sumie do ponad 3200 metrów. Był gaz — i bardzo dobrze, ale tylko minimalne ślady ropy.

— No a w maju przeniesiliśmy się tu, na „Białogard-2”. Miesiąc później zaczęliśmy wiercić. Jesteśmy na okrągło gdzieś na „trzy dwieście”, ale może pójdziemy głębiej, do dewonu, na „trzy trzysta”...

Notuję skwapliwie, w końcu to istna czarna magia. Nie mogę się jednak oprzeć, by nie zerkać w stronę wieży, gdzie loskot spinanych rur i pracowite, basowe „buff” maszyny oznajmia systematyczne pokonywanie kolejnych metrów pod ziemią. Nazywa się to „zapuszczanie” i przy tych głębokościach trwa około czterech godzin. W jedną stronę. Bo potem trzeba, pomijając samo drażnienie skały, znów przez ten sam czas wszystko rozpiąć. I tak dzień w dzień, noc w noc, na okrągło. Cztery brygady, po osiem godzin każda, niezależnie od kaprysów aury. Trzy tygodnie na wiertni i tydzień wolnego. I od początku.

Nie, nie zdzierzę. Niegrzecznie przerywam opowieść chłopaków o opisywaniu wykopanego rdzenia i ciągę na wizytę tam, pod brudnymi płachtami brezentu. **16**
Gapowaty, zauro-

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 2 (1293) ROK XXVI

8 STYCZNIA 1983 ROKU

CENA 15 ZŁ

Pierwsza!

ROZMOWA Z KORĄ, SOLISTKĄ GRUPY „MAANAM”



Foto: Jacek Szmuc

Zwierzęta i niezwierzęta

JERZY KWIECIŃSKI

Doktora Włodzimierza Pleszkiewicza znają nie tylko tysiące mieszkańców dzielnicy Górnej, gdzie osiedlił się w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu, ale i wielu ludzi z obszaru całej Łodzi i dawnego, rozległego województwa. Rozmawiamy w jego skromnym mieszkaniu, o wczesnym zimowym zmierzchu. Dosłownie za ścianą, w przyległym budynku, mieści się dzielnicowa lecznica zwierząt przy ul. Chocianowickiej. Myślę o tych

kilku dziesiątkach lat wytężonej pracy doktora, o wielu nieprzeznaczonych nocach na wyjeździe do odległych miasteczek i wsi, o wielu okolicznościach nietatowych i uciążliwych...

— Dlaczego wybrał pan ten zawód? — zaczynam rozmowę „od pieca”.

— Nie dostałem się na medycynę, a szkoda mi było tracić roku, spróbowałem więc na weterynarię. Po prostu, chciałem leczyć. Na tej decyzji zaważył też kontakt ze zwierzętami od najmłodszych lat. Ukończyłem w 1937 r. Akademię Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, która przyznawała tytuł doktora. Pokaże pan dyplom, bo takich już się od dawna nie wydaje. Tu doktor wyciągnął z czarnego futerału o kształcie walca i rozwinął przede mną okazałych rozmiarów łaciński certyfikat wydrukowany na płótnie, opatrzone zwisającą u spodu ogromną czerwoną pieczęcią, ze stosownym napisem i godłem Państwa. Istotnie, dzisiejsze nasze dyplomy ukończenia wyższych uczelni prezentują się w porównaniu z tym nader skromnie.

— A niech pan spojrzysz — powiada doktor — ile jeszcze do tego kopii dodawali, cały rulon. Sporo już musiałem pozalać, a jeszcze jakieś zostały.

— Czy nie żałował pan nigdy zmiany swojej decyzji, nie poczł się pan nigdy sfrustrowany, jak dziś nieraz ci, co leczą zęby zamiast innej części ciała lub sprzedają leki?

— Już w czasie studiów zdałem sobie sprawę z właściwego wyboru drogi, a pierwsza praca zawodowa jeszcze mnie w tym utwierdziła. Pracowałem najpierw w Zagłębiu Dąbrowskim na wsi, daleko od rodzinnych stron, ale wtedy nietatowo było o pracę, zwłaszcza w ośrodkach akademickich, a tym bardziej w tzw. Galicji, gdzie była wyraźna „nadprodukcja” fachowej inteligencji, a tymczasem w Zagłębiu i gdzie indziej weterynarzy i innych fachowców z wyższym wykształceniem — ani na lekarstwo. Okres wojny przepracowałem we Lwowie, a bezpośrednio po wojnie trafiłem do ówczesnej Rudy Pabianickiej, Łódzkiej odrębny miastem. W tym okresie uruchamiałem rzeźnię przy ul. Dubois, później przeszedłem do rzeźni łódzkiej, byłem przez szereg lat wojewódzkim inspektorem weterynarii. No cóż, stare dzeje... których ostatnim etapem jest znów dzielnica Górna.

Objąłem tu w 1963 roku kierownictwo nowo powstałej lecznicy dzielnicowej, które sprawowałem przez piętnaście lat, a po przejściu na emeryturę dostałem tu pół etatu, w godzinach popołudniowych. Od tego czasu zajmuję się niemal wyłącznie małymi zwierzętami, czyli w praktyce psami i kotami, bywa jednak, że i świnką morską, ale w zasadzie miałem do czynienia z całym naszym krajowym „zwierzęciem”.

Kiedy tak rozmawiamy, odzywa się telefon z zapytaniem, dlaczego, mimo powszedniego dnia, lecznica jest po południu nieczynna. **11**

1. „Marksizm różni się od anarchizmu tym, że uznaje za konieczność państwa i władzy państwowej w okresie rewolucyjnym w ogóle, w epoce zaś przejścia od kapitalizmu do socjalizmu w szczególności”.

Jest to cytaty z artykułu Włodzimierza I. Lenina „Zadania proletariatu w naszej rewolucji”. Artykuł ten powstał w kwietniu 1917 roku. Ukazał się drukiem we wrześniu 1917 roku, a więc jeszcze przed wybuchem Rewolucji Październikowej i stanowił ogólną wytyczną dla bolszewików w spra-

Interwencja formowała się w republikach na Zakaukaziu, Białorusi i Ukrainie.

4. 22 grudnia 1922 roku minęło 60 lat od powstania ZSRR. Dziś Związek Radziecki obejmuje obszar 22 402,2 tysięcy kilometrów kwadratowych. Wystarczy w centralnej telewizji obejrzeć prognozę pogody, aby zorientować się jak rozległy i różnorodny to kraj. Gdy na Dalekim Wschodzie hulają zamiecie i sroży się mróz, nad Morzem Czarnym niemal wczesna wiosna. Pokonywanie tych ogromnych odległości ja-

ciężka dyskriminacja w stosunku do nierosyjskich narodowości. Rozmawiałem o tym z Erykiem Ruzjczewem, hutnikiem z Uzbekistanu, i zapytałem go, czy odczuwa w stosunku do siebie jakąś dyskryminację. Roześmiał się i oświadczył, że trudno mu jest to ocenić, dlatego że nie wie, co to takiego. Po namyśle zaś powiedział, że w jego bractwie są przedstawiciele ośmiu narodowości i zawsze wszyscy zgodnie pracują.

Richard Leszczyński — wykładowca Uniwersytetu w Dic-

puścić do hamowania dojrzałych procesów.

Sukcesy w rozwiązywaniu problemu narodowościowego bynajmniej nie oznaczają, że znikły wszystkie problemy, które rodzi sam fakt życia i pracy w ramach jednego państwa o wielu narodach i narodowościach. Jest to chyba niemożliwe dopóki istnieją narody, dopóki są różnice narodowościowe. A one będą istnieć długo, o wiele dłużej niż różnice klasowe.

Oto dlaczego doskonalenie rozwiniętego socjalizmu — a właśnie tak możemy określić główną treść działalności partii i narodu na obecnym etapie — powinno obejmować także przemysłową i naukowo uzasadnioną politykę narodowościową”.

Doświadczenia Związku Radzieckiego w tej dziedzinie są uważnie studiowane na całym świecie. Rewolucja Październikowa zapoczątkowała proces głębokich przeobrażeń na całym świecie. Rozpadł się imperialistyczny system kolonialny, choć imperializm nie zrezygnował z podporządkowywania sobie w różny sposób krajów Trzeciego Świata. Wiele z tych krajów weszło na trudną drogę budowania własnej niepodległości i samodzielnosci, a działając w trudnych warunkach narodowościowych, które rodzą ich wewnętrzne sprzeczności i konflikty, a sprzeczności te i konflikty są częstokroć wykorzystywane przez sły imperialistyczne dla hamowania procesu emancypacji narodów Trzeciego Świata. Często krajom tym, w rozwiązywaniu ich wewnętrznych spraw narodowościowych, pomagają radzieckie doświadczenia.

8. Na XXVI Zjeździe KPZR Leonid Breżniew mówił:

„Głównym kierunkiem działania partii i państwa w polityce zagranicznej była i pozostaje walka o zmniejszenie groźby wojny, okiełznanie wysięgu zbrojeń. Obecnie zadanie to stało się szczególnie ważne i pilne. Chodzi o to, że w rozwoju techniki wojskowej zachodzą szybkie i głębokie zmiany. Pracuje się nad nowymi jakościowo rodzajami broni, przede wszystkim broni masowej zagłady. Są to takie rodzaje broni, nad którymi kontrola, a więc i uzgodnienie ich ograniczenia mogą stać się sprawą wyjątkowo trudną, a nawet niemożliwą. Nowy etap wysięgu zbrojeń podważa stabilność międzynarodową, znacznie zwiększa niebezpieczeństwo wybuchu wojny.

Sytuacja komplikuje również to, że polityka agresywnych sił imperialistycznych już doprowadziła do znacznego wzrostu napięcia międzynarodowego z wszystkimi niebezpiecznymi tego następstwami.

Nie ma zapewne państwa, które w ostatnich latach wystąpiłoby wobec ludzkości z tak szerokim wachlarzem konkretnych i realistycznych inicjatyw dotyczących najważniejszych problemów stosunków międzynarodowych, jak Związek Radziecki”.

Państwo radzieckie od samego początku podjęło walkę o pokój i prowadzi ją konsekwentnie do dziś. Jurij Andropow wystąpił ostatnio — w czasie obchodów 60 rocznicy powstania ZSRR — z dalszymi propozycjami rozbrojeniami. Jest to konsekwentne realizowanie linii politycznej nakreślonej przez Włodzimierza Lenina. Przypomnę tylko, że jednym z pierwszych dekreto- jakich uchwalił w listopadzie 1917 roku II Ogólnorosyjski Zjazd Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich był Dekret o Pokoju.

Powstanie Związku Radzieckiego zapoczątkowało proces przeobrażeń również w stosunkach międzynarodowych. Utworzył się system państw socjalistycznych, które w różny sposób szukają metod rozwiązywania swoich spraw wewnętrznych, realizując w zgodności z podstawowymi zasadami socjalizmu swoje specyficzne zadania; kraje, które układają między sobą stosunki wzajemne na zasadach braterskiej współpracy i wzajemnej pomocy. Wiele innych krajów, które choć całkowicie nie weszły na drogę budowania społeczeństwa socjalistycznego, to wiele swych wewnętrznych rozwiązań wzoruje na dorobku ZSRR i państw socjalistycznych. Wszystko to stało się i jest możliwe dzięki historycznym przemianom, jakie dokonały się i dokonują w pierwszym państwie socjalistycznym — w ZSRR. Na proces tych przemian, na ich historyczną rolę trzeba patrzeć bez uprzedzeń, starając się zrozumieć ich głęboki, historyczny sens.

Świat, w którym żyjemy

Zrozumieć nowe

wie ich stosunku do państwa. Było więc jasne, że zwycięstwo rewolucji proletariackiej musi stanowić jednocześnie pierwszy etap budowy nowego, socjalistycznego państwa.

2. 30 grudnia 1922 roku proklamowano utworzenie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. W jeden federacyjny organizm państwowy połączyły się wówczas: Rosyjska Federacyjna Republika Radziecka, Ukraińska SRR, Białoruska SRR i Zakaukaska SRR. Dzień ten stanowił zakończenie pierwszego etapu formowania się państwa socjalistycznego. Było to państwo nowego typu, nawiązujące do idei Komuny Paryskiej. We wspomnianym artykule W. I. Lenin pisał:

„Marksizm różni się od drobnomieszczańskiego oportunistycznego „socialdemokratyzmu” (...) tym, że dla wymienionych okresów uznaje konieczność nie takiego państwa, jak zwykła parlamentarna republika burżuazyjna, lecz takiego, jak Komuna Paryska”.

Wieczorem 7 listopada 1917 roku rozpoczął obrady II Ogólnorosyjski Zjazd Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, który — po zdobyciu Pałacu Zimowego i aresztowaniu Rządu Tymczasowego Aleksandra F. Kiereńskiego — przejął całą władzę i powołał Radę Komisarzy Ludowych z Włodzimierzem Leninem na czele. Tenże sam Zjazd, następnego dnia (8 listopada 1917 r.), uchwalił dwa dekryty o wielkim znaczeniu historycznym: Dekret o Pokoju i Dekret o Ziemi. Powołał on również Ogólnorosyjski Centralny Komitet Wykonawczy (znany ze skrótu jako WCİK), który stanowił między zjazdami rad zwierzchni organ władzy.

kinsonie: — Republiki znacznie się różnią jedna od drugiej i to jest bardzo ciekawe. W Duszanie, Taszkencie, Tbilisi, Wilnie — nigdzie nie zetknąłem się z procesem asymilacji, jak tego oczekiwaliśmy. Okazuje się, że ani w Wilnie, ani w Duszanie nie podejmuje się żadnych kroków zmierzających do wytopienia tradycji narodowych. Ludzie również teraz je podtrzymują... Rachel Lubell — studentka okręgowego college'u w Nowym Jorku: — Duże wrażenie wywarł na mnie również inny szczegół. Ponieważ w Baku mieszka ponad 60 różnych narodowości, zajęcia w szkołach i programy telewizyjne prowadzi się w wielu językach... W lipcu 1923 roku uchwalona została konstytucja ZSRR. Wskazywała ona w życie 31 stycznia 1924 roku. Przyznawała wszystkim narodom i narodowościom równe prawa, zakładając jednocześnie, że w miarę nadrobienia opóźnień, a były one i są dziś jeszcze na różnym poziomie cywilizacyjnym i kulturalnym, mogą „awansować” w federacyjnej strukturze państwowej: od regionu narodowościowego, przez obwód autonomiczny, republikę autonomiczną do republiki związkowej.

„Będziemy dowodził — odpowiedzieli.

— Skąd?

— A niedaleko od nas.

— To znaczy, z jakiej odległości dokładnie? — dociekałem.

— Drobnostka — odpowiedzieli gospodarze — z odległości dwóch tysięcy kilometrów!

5. Państwo socjalistyczne powstało na terytorium dawnego imperium carów rosyjskich, którzy podbili i uciskali wiele narodów. I postawiło sobie za cel wprowadzenie i przestrzeganie równości wszystkich narodów i narodowości. Nie było to ani łatwe, ani tym bardziej proste. Istotą socjalizmu jest sprawiedliwość społeczna i równość wszystkich narodów. Hasło to trzeba było wprowadzić w praktykę państwa socjalistycznego. Rodziło się to państwo w ogniu walki nie tylko klasowej, ale i narodowościowej. Dla wielu narodów dawnego imperium carskiego Rosjanin kojarzył się z ciemnym zyciem, a oto nagle rosyjski proletariatusz nie tylko deklarował równoprawność, ale też usiłował je realizować w państwowej i politycznej praktyce. Czy zawsze spotykał się z uznaniem i zrozumieniem? Bywało przecież tak, że spotykał go w zamiar skrytobójcza kula, ale i tak, że trzeba było podejmować walkę z „dumą Wielkorusów” w imię obrony proletariackiego Internacjonalizmu i równości wszystkich narodów i narodowości.

Na przykład w Jakuckiej Republice Autonomicznej okolo 250 tysięcy Jakutów mieszka 25 tysięcy Ewenków, 13 tysięcy Ewenów, 30 tysięcy Nieńców, 15 tysięcy Czukczów i około tysiąca Jakugirów. Jerzy Sieradzki — korespondent „Zycia Warszawy” w Moskwie — wspominał w „Przekroju” jak poznał siedemdziesięcioletniego poetę eweńskiego, który tworzył w języku swego narodu, ale jego wiersze i pieśni opowiadały o dziejach jego rodu znane są w całym Związku Radzieckim. Są bowiem tłumaczone na język rosyjski. Jerzy Sieradzki zastrzegł, że może się mylić, ale jego zdaniem język eweński nie ma jeszcze swego alfabetu. Dzieci tego poety ukończyły studia i pracują: syn glaciolog w Leninogradzie, drugi syn buduje tam na Jenisieju, córka uczy francuskiego w szkole w Ojmiakonie.

Inny przykład rozwiązywania spraw narodowościowych. W 1924 roku dokonano korekty granic wschodniej Białoruskiej SRR przyłączając te terytoria, gdzie większość stanowili Białorusini. Terytorium BSSR zwiększyło się przez to z 55 do 110 tysięcy kilometrów kwadratowych, a ludność z 1,5 miliona do 4 milionów. Podobne korekty przeprowadzono na Zakaukaziu i w Azji Środkowej.

W Związku Radzieckim żyje 106 narodów mówiących przeszło 130 językami, trzy czwarte ludności posługuje się językami zaliczającymi się do słowiańskiej grupy językowej.

6. W Związku Radzieckim działają 892 wyższe uczelnie, w których studiuje przeszło 5 milionów osób. Różnymi formami kształcenia objęte jest przeszło 100 milionów ludzi. Działają 600 teatrów, przeszło 150 tysięcy kin, 132 tysiące bibliotek, 138 tysięcy ośrodków kultury.

„Nie bez znaczenia jest system telewizji w ZSRR, która popularyzuje teatr, film, literaturę i sztukę. Popularyzacja literatury i sztuki zajmuje się radio radzieckie.

7. W czasie obchodów 60 rocznicy powstania ZSRR w Moskwie w grudniu 1982 roku sekretarz generalny KCKPZR — Jurij Andropow stwierdził między innymi:

„Nasz cel ostateczny jest jasny. Jest to mówiąc słowami W. I. Lenina „Nie tylko zbliżenie narodów, lecz także ich zespolenie”. Partia dobrze rozumie, że droga do tego celu będzie długa. W żadnym wypadku nie można wybiegać w przód, jak też nie można do-

powiedzieli.

— Skąd?

— A niedaleko od nas.

— To znaczy, z jakiej odległości dokładnie? — dociekałem.

— Drobnostka — odpowiedzieli gospodarze — z odległości dwóch tysięcy kilometrów!

5. Państwo socjalistyczne powstało na terytorium dawnego imperium carów rosyjskich, którzy podbili i uciskali wiele narodów. I postawiło sobie za cel wprowadzenie i przestrzeganie równości wszystkich narodów i narodowości. Nie było to ani łatwe, ani tym bardziej proste. Istotą socjalizmu jest sprawiedliwość społeczna i równość wszystkich narodów. Hasło to trzeba było wprowadzić w praktykę państwa socjalistycznego. Rodziło się to państwo w ogniu walki nie tylko klasowej, ale i narodowościowej. Dla wielu narodów dawnego imperium carskiego Rosjanin kojarzył się z ciemnym zyciem, a oto nagle rosyjski proletariatusz nie tylko deklarował równoprawność, ale też usiłował je realizować w państwowej i politycznej praktyce. Czy zawsze spotykał się z uznaniem i zrozumieniem? Bywało przecież tak, że spotykał go w zamiar skrytobójcza kula, ale i tak, że trzeba było podejmować walkę z „dumą Wielkorusów” w imię obrony proletariackiego Internacjonalizmu i równości wszystkich narodów i narodowości.

„Nasz cel ostateczny jest jasny. Jest to mówiąc słowami W. I. Lenina „Nie tylko zbliżenie narodów, lecz także ich zespolenie”. Partia dobrze rozumie, że droga do tego celu będzie długa. W żadnym wypadku nie można wybiegać w przód, jak też nie można do-

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W lipcu 1918 roku V Zjazd Rad uchwalił pierwszą radziecką konstytucję i przyjął oficjalną nazwę: Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka.

3. Rosja ogarnięta była wówczas wojną domową. W portach na Dalekim Wschodzie, na południu i północy lądowały wojska interwencyjne. Białogwardziści, kontrrewolucjonisci, nacjonalisci, wspomagani przez obcych interwentów podejmowali próby rozgromienia rewolucji i rodzącej się władzy rewolucyjnej proletariatu. Nowe państwo rodziło się w bólach, w walkach wewnętrznych, walcząc z głodem, nędzą, ciemnotą, zacofaniem, wojennym rozprężeniem, zniszczeniami. Walki toczyły się na Ukrainie, w Azji Środkowej, na Dalekim Wschodzie. Również i tam formowały się republiki radzieckie.

W kwietniu 1920 roku — po upadku dyktatury gen. Aleksandra Kołczaka — na Zabajkału powstała Republika Dalekiego Wschodu. Przyjęła w 1921 roku konstytucja określającą demokratyczny charakter tej republiki. W jej parlamencie większość mieli bolszewicy i sprzymierzeni z nimi chłopcy, ale nie oznaczało to, że mają pełnię władzy. Nadal toczyła się walka. Dopiero 15 listopada 1922 roku parlament Republiki Dalekiego Wschodu podjął decyzję o wejściu w skład RSRR.

W walce z kontrrewolucją i

W walce z kontrrewolucją i

W następnym numerze „Odgłosów”

- Przepychanka na lodach Antarktydy
- Z prehistorii obozu burżuazyjnego
- Pomoc doraźna pracowała jak zwykle
- Powrót do „medycyny ludowej”
- W kręgu fantastyki

STOSUNKI JAPONIA — ZSRR

Odpowiadając na interpelację opozycji w Izbie Wyższej (odbywało się tam posiedzenie Komisji Spraw Zagranicznych) japoński minister spraw zagranicznych, Shintaro Abe, wyraził opinię, że sekretarz generalny KC KPZR, Jurij Andropow, działa aktywnie na rzecz rozbrojenia, a także zbliżenia między ZSRR i Chinami. Zdaniem ministra, kierownictwo radzieckie zajęło również „aktywne stanowisko” w dziedzinie poprawy stosunków z Japonią. Abe zacytował m. in. takie przykłady, jak podpisanie 4 grudnia radziecko-japońskiego układu w sprawie rybołówstwa na rok 1983, a także przypomniał, że Związek Radziecki powiadomił Japonię o swej decyzji zwolnienia 29 rybaków japońskich znajdujących się w Związku Radzieckim ZSRR poinformował również stronę japońską, że z zadowoleniem powita japońską misję handlową, która odwiedziła Moskwę w lutym br.

Na pytanie dotyczące stanowiska Japonii wobec ZSRR minister Abe odpowiedział, że Tokio będzie utrzymywać i rozwijać przyjazne kontakty z tym państwem

KONTROWERSYJNE PRZEMÓWIENIE

Królowa Elżbieta II spowodowała wybuch politycznych kontrowersji swoim świątecznym przemówieniem skierowanym do krajów Commonwealthu. 5-minutowe przemówienie, wygłoszone 25 grudnia 82 r. przez radio z Pałacu Windsor wywołało ostre protesty jeszcze zanim zostało emitowane. Treść przemówienia została bowiem uprzednio podana do wiadomości.

Królowa Elżbieta II mówiła o historycznej potędze brytyjskiej na morzach, wygłosiła pochwałę dla sił brytyjskich, które odebrały Wyspy Falklandzkie Argentynie i podziękowała krajom Commonwealthu za poparcie dla W. Brytanii w okresie kryzysu falklandzkiego.

Następnie królowa mówiła o „wielkich bitwach w obronie pokoju i wolności”, prowadzonych przez Wielką Brytanię w pierwszej połowie XX wieku. Bitwy te nie mogłyby zostać wygrane bez kontroli W. Brytanii na morzach. W połowie bieżącego roku — oświadczyła następnie Elżbieta II — na południowym Atlantyku marynarka królewska i flota handlowa umożliwiły naszym marynarzom i żołnierzom odzyskanie Falklandów i uwolnienie mieszkańców wysp znajdujących się o ponad 8 tysięcy mil od kraju. Królowa chwaliła „umiejętności i odwagę” marynarzy i żołnierzy brytyjskich.

Świąteczne przemówienia nadawane z Pałacu Windsor przez monarchów mają swą 50-letnią tradycję, jednak monarchowie brytyjscy, przesyłając życzenia krajom Korony Brytyjskiej nie poruszali w nich dotychczas problemów politycznych.

„GOSPODARCZY STAN WYJĄTKOWY” W KOLUMBII

Prezydent Kolumbii, Belisario Betancur ogłosił 23 grudnia 82 r. „gospodarczy stan wyjątkowy”, co — w myśl konstytucji — daje mu możliwość rządzenia za pomocą dekretów w tej dziedzinie. Stan ten będzie trwał 50 dni. Wśród zapowiedzianych posunięć znalazło się opodatkowanie banków i innych instytucji finansowych i ubezpieczeniowych, podwyżka opłat w transporcie i komunikacji, podwyżka ceny benzyny o 22 proc. oraz — co agencje uznają za najistotniejsze — „natychmiastowa, szeroka i wspólna-komisyjna amnestia” dla wszystkich, którzy dotychczas nie deklarowali swoich dochodów lub podawali fałszywe dane wladom skarbowym.

To ostatnie posunięcie ma na celu — jak oświadczył prezydent — „przyciągnąć ukryty kapitał, skądkolwiek by pochodził, nie bacząc na jego źródła, nie stosując żadnego rodzaju sankcji”. Agencje podkreślają, że chodzi tu głównie o ogromne sumy pochodzące z nielegalnego handlu kokainą i marihuaną, jak również innego rodzaju przemytu i nielegalnych operacji. Sądzi się — dodajmy — że nielegalne obroty handlowe z zagranicą przewyższą w Kolumbii obroty formalnego handlu z zagranicą tego kraju. Prezydent nie sprzecywał jednak jakiego rodzaju bodźce czy też inne kroki zastępuje się w celu ujawnienia tych „ukrytych kapitałów”. Zwiększenie dochodów skarbu państwa jest bardzo istotne, gdyż skarby ten odnotował w roku 1982 deficyt ok. 100 mld pesos, tj. 1,5 mld dolarów.

Prezydent Betancur zapowiedział także wprowadzenie bardziej korzystnego systemu podatkowego dla rodzin o niskich dochodach, obniżenie podatku od samochodów małolitrażowych i realizacji dla ludzi pracy. Agencje przypominają, że Betancur, który objął urząd 7 sierpnia 1982 r. ogłasza „gospodarczy stan wyjątkowy” już po raz drugi. Poprzedni, ogłoszony 8 października, posłużył do reformy systemu bankowego i sanacji sieci prywatnych kas oszczędnościowych.

LUCJAN BOGUSZ

Zduńska Wola jest miastem niezwykłym. To jedyny ośrodek o tak licznej klasie robotniczej otoczony przez rozległe rolnicze ziemie województwa sieradzkiego. I ludzie tu są jakby inni niż gdzie indziej: niespokojni, czynni poprzez swoje postawy obywatelskie i polityczne, zaradni. Ta ich inność wielu denerwuje, irytuje i drażni, wielu zaś zdumiewa i zaskakuje. Skąd się to bierze? Gdzie tkwi tajemnica rozgłosu, jaki uzyskuje Zduńska Wola w ostatnich, burzliwych latach? Czym wytłumaczyć fakt, że miasto to odwiedza członkowie KC partii i rządu? Że do Zduńskiej Woli na rozmowę z robotnikami i pracownikami zakładów przemysłowych przyjeżdżają wicepremierzy M. Rakowski i Z. Komender, minister spraw zagranicznych, ministrowie: budownictwa, komunikacji, służby zdrowia, minister do spraw reformy, a ostatnio członek Biura Politycznego — Zofia Grzyb?

Pisałem niejednokrotnie o Zduńskiej Woli. Ta inność, w pozytywnym znaczeniu, sprawiła, że kiedy nadeszło do redakcji zaproszenie na konferencję sprawozdawczą tamtejszej miejskiej organizacji partyjnej, postanowiłem pojechać. Prawda jest bowiem taka, że wiele województw chciałoby mieć u siebie taką organizację, mieć taki ośrodek życia politycznego, o którym mówi się w kraju, który coraz to zaznacza swoje miejsce na politycznej i gospodarczej mapie Polski.

Z Łodzi do Zduńskiej Woli jest raptem niecałe 50 km. Wyjechałem rano, ale za całą Okup, w Czechach, mój „maluch” nagle się zbuntował, zakręcił się i zgasił. Przez godzinę usiłowałem bezskutecznie zatrzymać przejeżdżające samochody. Kierowcy udawali, że mnie nie dostrzegają. W końcu ulitowała się jakaś kobieta z naklejonym „zielonym listkiem” na szybie. Pozytywnym odcieniem na jej kondensator i po kilku minutach dotarłem przed salę gimnastyczną i LO im. Kazimierza Wielkiego.

Zdażyłem na dyskusję. Zanim jednak napiszę o czym mówiono na konferencji, przytoczę garść danych statystycznych. Z materiałów dostarczonych przez Komitet Miejski wynika, że: 1 grudnia 1982 r. ilość członków i kandydatów wyniosła 4.057 osób (tj. o 899 osób mniej niż 1 czerwca 1981 r.), przyjęto zaś w tym czasie zaledwie 16 osób. Trzema organizacjami partyjnymi są robotnicy (2.519 osób), z czego prawie połowę stanowią kobiety.

Miejska instancja partyjna nakreśliła dość rozległy program działań społeczno-politycznych na lata 1981 — 1983. Jest tego sporo, część została wykonana, wiele czeka na realizację. Z bogatego programu wybrałem zaledwie niektóre punkty, moim zdaniem, charakterystyczne dla całości programu. W każdym bądź razie ciągle szuka się rozwiązań, bada możliwości, analizuje stan posiadania.

Z oświatą i zdrowiem wiąże

W kolejnym punkcie czytamy: „Podejmować działania partyjno administracyjne na rzecz poprawy warunków lokalowych szkół, placówek oświatowo wychowawczych... Dla miasta jest to problem poważny, nad którego rozwiązaniem dyskutuje się od lat. Zduńska Wola nie była rozpieszczana przez budowlanych, brakuje tu mieszkań, brakuje pomieszczeń dla służb społecznych oświatowych, dla lecznictwa. Stąd poczyna instancja partyjna i administracja, by bodaj złagodzić istniejące potrzeby. Wiadomo powszechnie w jakich warunkach przebywają dzieci z Państwowego Domu Dziecka. Teraz zapadła decyzja o przeniesieniu się do budynku w Tomisławicach. Ale wiadomo, że to półśrodek, że to prowizorka i na dłuższą metę taki stan nie może istnieć. Miasto musi mieć własny PDD nie tylko na miarę swoich możliwości, ale na miarę wymogów współczesnej pedagogiki. A o bok tego trzeba było zburzyć

walącą się ruderę zwaną szkołą nr 3, rozpocząć rozbudowę szkoły nr 12, przeznaczyć większe środki na remonty i wyposażenie szkół itp. Jednocześnie z pomocą przychodzi „Izolacja”, która oddaje do użytku nowe przedszkole, rozpoczyna się kładzenie fundamentów pod kolejne... I tak po mału, krok za krokiem następuje poprawa w placówkach wychowania i nauczania. Do ideału daleko, ale konsekwencja, z jaką realizuje się program gospodarczy, napawa optymizmem.

Wspomniałem o cenach. Miejska instancja partyjna uważa, że działalność władzy na rzecz ochrony rynku konsumenta możliwa była dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego. Powstała przy Urzędzie Miasta społeczna komisja antyspekulacyjna, przeprowadzono 22 akcje pod kryptonimem „Rynek”, spensretowano wiele melin, bimbrów, sklepików prywatnych, gdzie dokonywano nielegalnych transakcji. Niestety, problem istnieje nadal, reszta jak w innych miastach, tak i Zduńskiej Woli spekulacja nie znikła, mimo ostrych sankcji prawnych.

Spraw zawartych w programie działań Komitetu Miejskiego jest wiele i nie sposób omawiać punktu po punkcie, jednakże nie mogę powstrzymać się, aby nie przytoczyć jednego w swoim rodzaju postulat. Jest to punkt 24 z rozdziału II. Brzmi on tak: „Działając na rzecz integracji wewnętrznej województwa sieradzkiego, a zwłaszcza do zacieśnienia więzi między miastami Sieradz i Zduńska Wola”. Otóż nie od dziś znane są animozje tych dwóch miast, ich zadawiona do siebie niechęć, ich konkurencyjność. Kiedyś były to niezależne, równe sobie ośrodki, teraz Sieradz jest województwem, Zduńska Wola spadła do roli jednego z kilku miast podporządkowanych miastu wojewódzkiemu. Znam z autopsji stosunek niektórych zduńskowolan do Sieradza, do czego miasto wojewódzkie w przeszłości walczyło się przyczyniło.

Teraz jakby szło ku lepszemu. Integracja nie jest sprawą poleceń administracyjnych. W materiałach na konferencję czytamy: „Wniosek ma charakter długotrwały. Już w pierwszych miesiącach kadencji z inicjatywy Egzekutywy KM PZPR w Zduńskiej Woli zorganizowano spotkanie z Egzekutywą KM PZPR w Sieradzu. Tematem spotkania było ustalenie płaszczyzn współpracy. Spotkanie to było pierwszym w historii obu organizacji partyjnych. Kolejne spotkanie odbyło się w Sieradzu i

z zewnątrz, dokonana przez członka prezydium rządu prof. W. Bakę, ministra do spraw reformy, który wizytował ostatnio nasze zakłady pracy. Dzięki wam za takie działania, zaangażowanie drodzy towarzysze dyrektorzy, sekretarze KZ, delegaci. Ośmielam się gorąco prosić towarzyszy, aby trzymać ten kurs, przyspieszać tempo wdrażania reformy. Zadbajmy też o to, aby w ramach ekonomizacji reformy nie zapomniano o człowieku — o podmiocie tej reformy”.

kich, fryzjerskich). Jednakże — zapewnił mówca — na kolejarzy można zawsze liczyć. „Środowisko to zawsze rozumiało i nadal rozumie obrzymie trudności gospodarcze kraju. Liczy jednak to środowisko na zrozumienie i władz miejskich i wojewódzkich i na poparcie go w życiowych przeciżach”.

JÓZEF LEWANDOWSKI, mówiąc o roli partii w zakładzie pracy na przykładzie ZPW „Wolana” powiedział: „O roli i pozycji POP w życiu zakładu decyduje również skuteczność egzekwowania zgłoszonych i podejmowanych uchwał. Chodzi o ich dokładne przeanalizowanie i realizację zgodną z intencją wnioskodawcy, oczywiście w miarę możliwości. Nie do przyjęcia jest formalne zatwierdzenie spraw kończące się udzieleniem informacji komu ją przekazano do realizowania, czy zastępowanie ich trudnościami obiektywnymi, które faktycznie wynikają z niedbalstwa, opieślności czy złej woli zatwierdzającego”.

JADWIGA CHRZANOWSKA, dziewczarka z ZPDz „Wolana” poruszyła niezwykle, moim zdaniem, istotną sprawę: sprawę jakości moralnej członków partii i autorytetu partii. „Dokonując oceny członków partii powinniśmy poważnie zastanowić się, czy jeszcze wszyscy na miano towarzysza partyjnego zasługują. Myślę, że tą drogą idąc będziemy tylko budować autorytet partii... Budowa autorytetu całej partii opiera się nie tylko na słusznych i celnych rozwiązaniach władz centralnych. Autorytet partii to także autorytet członka partii”.

TADEUSZ SZYNCEWSKI z WSS „Spolem” zabierając głos w sprawach spółdzielczości, która jest najbardziej wystawiona na osąd społeczny, powiedział m. in.: „Wysokie wykonawstwo zadań bieżącego roku to bezsprzecznie nasz udział towarzysze „Zwolteru”, „Wol” i „Wolany”, którzy w wymiarach przekraczających 40 mln. złotych dodatkowo zapotrzebowali w swoje produkty nasze sklepy, podnieśliście nie tylko nasz, ale i miast autorytet w kraju, a nam daliście wolne fundusze, dzięki którym mogliśmy uregulować sprawy placowe blisko tysiąca pracowników „Spolem”, a mówiąc szczerze zrzęcającym w dużej mierze nasze żony i córki”.

Na zakończenie przytoczę fragment ważkiego głosu, bo wiem sprawą, której ten głos dotyczył, przewijała się niemal we wszystkich wystąpieniach. Oto co przedstawił CZESŁAW CACKOWSKI (głos złożony do protokołu) z SM „Lokator”: „Obecna sytuacja gospodarcza w kraju, wprowadzenie reformy i wielu innych zmian organizacyjno-prawnych spowodowała gwałtowne obniżenie ilości budowanych mieszkań (1980 r. — 500 mieszkań, 1982 — 180, 1983 — 180)... Liczba osób oczekujących w kolejce po mieszkanie wynosi obecnie ok. 3.500, z czego wynika, że okres oczekiwania wydłużył się z 7 — 8 lat w 1978 — 79 r. do 12 — 16 lat w chwili obecnej... „A ponieważ obywatel ocenia władzę i jej działania na przykładzie spraw dla siebie najbliższych i najważniejszych (a do takich wlicza się przede wszystkim mieszkanie) to właśnie od tego — w jaki sposób i w jakim czasie „zadziałamy” w sprawach budownictwa mieszkaniowego — zależy czy to zaufanie i poparcie zyskamy w krótkim czasie...”

W sumie głos zabrało 20 mówców, 8 głosów złożono do protokołu. Pozornie konferencja przebiegała spokojnie, mówiono bez emocji. Nie znaczy to wcale, że treść wystąpienia była „odfajkowaniem” udziału w konferencji poszczególnych jej uczestników. Ludzie nie mówili, by się pokazać przed władzami albo mówić dla samego mówienia. Oni chcieli autentycznie coś przekazać, przedstawić własne wątpliwości i przemyślenia. I co ciekawe: ludzie poruszając wiele zagadnień, czynili to z przekonaniem, że właśnie konferencja jest tym forum, na którym te sprawy winny się znaleźć.

Późnym wieczorem, przed pożegnaniem się z gospodarzami konferencji, zapytałem sekretarza ZDZISŁAWA PAPROCKIEGO, jak zamierza Komitet Miejski zabrać się za rozwiązywanie tak ważnych i licznych problemów. Odpowiedział: „Już zrobiliśmy pierwsze, może, drobne, kroczki, ale potrzeba nam milowych kroków. I je zrobimy”!

Potrzeba nam milowych kroków

EUGENIUSZ IWANICKI

Kolejnym schorzeniem miasta jest stan placówek służby zdrowia. Sprawa nie jest nowa. Zamierzano nawet opracować raport o stanie zdrowia mieszkańców Zduńskiej Woli. Później pomysł ten zarzucono i sprawa trafiła na posiedzenie sesji MRN. Sposób, w jaki to zostało przedstawione, nie miał dotąd precedensu w historii miasta. Ale też i problem był niebagatelny. Dotychczasowe budynki służby zdrowia są nimi jedynie z nazwy. Na dobrą sprawę są zaprzeczeniem pojęć takich jak szpital, przychodnia, laboratorium. Dlatego też zapadła decyzja wybudowania w Zduńskiej Woli nowego szpitala na 470 łóżek (budowlani wejdą na plac budowy w 1984 r.), oddano do użytku nową przychodnię przeciwgruźliczą, trwa rozbudowa Państwowego Domu Pomocy Społecznej, dokonuje się, gdzie to tylko jest możliwe, modernizacji i remontów. Niestety, nadal nie została rozwiązana sprawa działalności profilaktycznej, natomiast pozyskiwanie fachowych pracowników służby zdrowia praktycznie jest niemożliwe ze względu na brak jakiegokolwiek mieszkań spółdzielczych i komunalnych. Może coś się wykozi przy nowym szpitalu, może powstanie zrzeszenie budowy domków jednorodzinnych dla personelu lekarskiego, może ruszy wreszcie budownictwo komunalne... W każdym bądź razie ciągle szuka się rozwiązań, bada możliwości, analizuje stan posiadania.

Z oświatą i zdrowiem wiąże

tematem jego była „Ocena realizacji programu zagospodarowania zespołu miast Sieradz — Zd. Wola”. Planowane są dalsze działania integracyjne”. Otóż chcę powiedzieć od siebie, że w czasie trwania konferencji, poruszałem ten temat z jej uczestnikami. Wszyscy byli zdania, że problem jako taki nie istnieje, że jeśli tylko Sieradz (w domyśle władze wojewódzkie) wyciągnie rękę do zgody, Zduńska Wola te rękę serdecznie uściśnie. „Ci z województwa — mówili jeden z delegatów — powinni się cieszyć, że mają u siebie takie miasto jak Zduńska Wola. Przecież, to co robimy, te nasze przedsięwzięcia, jeśli tylko są dobre, to w jakimś stopniu przynoszą chwałę także Sieradzowi”. Potwierdzeniem normalizacji stosunków między obu miastami, było wystąpienie wojewody TADEUSZA BARCZYKA. W przeszłości miałem wojewodzie to i owo za złe. Kiedy wszedł na mównicę byłem przygotowany na najgorsze. I nagle ujrzałem nieznanego mi człowieka: troskliwego administratora województwa, zaabsorbowanego sprawami ludzi przelozonego. Mówił z uznaniem o inicjatywach powstających w Zduńskiej Woli, z sympatią i ciepło odniósł się do realizowanych tu problemów socjalnych. „Ciesz się fakt — mówił — że proces wdrażania reformy w zakładach przemysłowych i spółdzielczych Zduńskiej Woli przebiega prawidłowo i jest daleko zaawansowany. Cieszy tym bardziej, że jest to ocena

Teraz chcę powrócić do dyskusji. W zasadzie była ona inspirowana referatem wygłoszonym przez I sekretarza KM ZDZISŁAWA PAPROCKIEGO. Mówię w zasadzie, gdyż referat dotyczył przede wszystkim spraw ideologicznych, ale mówcy ciągle powracali do gospodarki, komunikacji, budownictwa, infrastruktury, zaopatrzenia itp. Podobalo mi się stwierdzenie sekretarza, że „Nie ma sposobu zadekretowania pozycji partii w zakładzie, jest jedynie metoda zdobywania jej cierpliwie dzień po dniu”. I dalej: „Z praktyki partyjnej raz na zawsze winny zginąć metody statystycznej oceny umacniania partii. Jak dowodzi praktyka ostatnich miesięcy nie liczb, lecz jakość szeregowych PZPR decyduje o sile partii”.

A oto fragmenty wypowiedzi niektórych uczestników konferencji.

MIECZYSLAW SKOWRON z wężła kolejowego Karsznice mówiąc o trudnej i złożonej sytuacji PKP, wiele uwagi poświęcił pracy trzydziestoletniej, najwęższej magistrali łączącej Śląsk z portami. Ludzie pracują tu w tzw. nadgodzinach, bo brakuje chętnych do pracy w kolejnictwie, nie ma mieszkań (380 kandydatów czeka w kolejce, a rocznie zostaje oddanych zaledwie 80 mieszkań), kolejarze nie mają u siebie przychodni dla badań specjalistycznych i muszą jeździć do Łodzi, nie ma dostatecznej ilości pawilonów handlowych, nie ma punktów usługowych (krawiec-



Foto: Tomasz Misiak

Namysł i pomysł

Jedną z recenzji z głośnego amerykańskiego filmu „Sprawa Kramerów” (mąż porzucony z dzieckiem decyduje się na samodzielne wychowanie) kończy się dywagacją: co by było, gdyby rzecz całą przenieść we współczesne polskie realia? Konkluzja jest raczej oczywista. Bonater nie straciłby z pewnością posady za wyniki z opieki nad dzieckiem zaniechania w pracy. Ale i jego realne zarobki byłyby kilkakrotnie niższe niż w USA.

I otóż w tych dwu zdaniach zawiera się główny dylemat współczesnych Polaków. Korzystamy dość powszechnie z niewyobraźnego na Zachodzie, a w Stanach Zjednoczonych AP w szczególności, zatarcia przedziałów między pracą zawodową, a życiem prywatnym. Stąd normalne tam zwolnienie pracownika opuszczającego się ze względu na zwiększenie obowiązków rodzinnych — zwolnienie przez szefa-przyjaciela, bo sentymenty i biznes to sprawy oddzielne — u nas uchodziłoby za niehumanitarne, sprzeczne z nawykami i regułami życia społecznego, a i towarzyski nietakt, jeśli nie ordynarne świństwo. Nie tylko zwyczaj, ale i normy prawne chronią jedynych żywicieli przed zwolnieniem, niezależnie od jakości ich pracy, gdy w USA zajmowanie się tym by oni i ich rodziny nie marli z głodu jest sprawą opieki społecznej, a nie zakładu pracy. Nadajesz się do roboty, jesteś wydajny — pracuj i zarabiaj. Jeśli nie — zgłoś się do kasy po wypłatę i nie zajmuj miejsca innym. I to zazwyczaj natychmiast, bez odpraw i wielotygodniowych, czy wielomiesięcznych wypowiedzeń. Nikogo nie obchodzi, czy boli cię głowa, czuwałeś całą noc przy dziecku, zwała ci się rodzina, pokłóciłeś się ze współmałżonkiem. To twoje prywatne sprawy, które winienesz zostawić za bramą zakładu. Tu się liczy tylko twoja sprawność, wydajność — bo za to ci płacą.

Płaca, oczywiście, wielokrotnie więcej niż w Polsce. Ale istotnym warunkiem wyższej realnej wartości siły nabywczej tamczyńskich zarobków jest wyższa przeciętna wydajność pracy. Nie tylko i nie głównie w mennicach drukujących dolary, ale w całej gospodarce. To zaś osiąga się tam m. in. przez ostry reżim pracy, którego podstawą jest konsekwentny rozdział między czasem pracy a życiem osobistym. Coś się więc zyskuje — ale i coś traci. Zyskuje wyższe realne zarobki, ale traci elastyczność stosunków międzyludzkich w zakładzie, co sprawia, że jesteś traktowany równie bezosobowo i bezdusznie jak maszyna. Wyrzucana w przypadku niesprawności, zastępowana przez wydajniejszą. Sądzę, że moi Rodacy chcieliby mieć i jedno i drugie. Wyższe realne zarobki i uwzględnianie, że żywy człowiek nie martwy mechanizm, liczy się więc jego samopoczucie, na które w istotnej mierze wpływa sytuacja życiowa w czasie poza pracą. Świadczy o tym chociażby gwałtowna opozycja na wypowiedzenie ministra Zdzisława Krasińskiego, że naszą gospodarkę mogłoby uzdrowić przekazanie kierownictwa zakładów menedżerom znającym jedynie ustawy o reformie gospodarczej, którzy „nie oglądali się na kodeks pracy, inne przepisy. Ludzie wracaliby do domu uharowani, lecz wiedzieliby, że za biorą znacznie większe wynagrodzenie”. A przecież jeśli przyjąć, że nie ma alternatywy wobec amerykańskiego sposobu osiągania wyższej wydajności — minister ma w pełni rację. I należałoby się zgodzić na to, iż musimy coś stracić, żeby coś zyskać.

Podjąłem ten temat nie po to jednak, by przytaknąć ministrowi Krasińskiemu i myślącemu podobnie doń. Nie jestem bowiem taki pewny, iż taka reorientacja naszych postaw i poglądów jest możliwa — a i czy jest celowa. Możliwość tak głębokiego przeobrażenia naszych stosunków ograniczana jest przez zakorzenione w naszym społeczeństwie tradycje, nawyki ukształtowane wiekami dominowania rodzinnych gospodarstw chłopskich i rzemieślniczych. Właściwa dla tego typu organizmów produkcyjnych jedność między pracą a domem, życiem zawodowym a prywatnym, jest nadal na tyle świeża i żywotna, że wszelkie próby jej szybkiego przezwyciężania owocują i muszą owocować połowicznymi rezultatami. Przypomnijmy, że ukształtowanie innego charakteru tych stosunków na Zachodzie dokonywało się w długotrwałym procesie mającym pierwotnie postać brutalnego łamania w XVIII i XIX w. starych obyczajów za pomocą bezwzględnej bota nędzy, bezrobocia, zmuszających robotników do absolutnego zatracenia się w pracy, by dopiero niedawno zaowocować podziwianym przez naszych menedżerów zdyscyplinowaniem w pracy, zaś przez ogół pracowników wyższą realną wartością pracy. Niezbyt wierzę, by możliwe było dokonanie podobnej zmiany u nas w obecnych czasach i w socjalistycznym ustroju.

Tak że należałoby szukać innych rozwiązań tego dylematu. Bo rozwiązać go bezspornie trzeba. Względny humanitaryzm stosunków na linii czas pracy — życie osobiste, owocuje bowiem dotkliwie niehumanitarnymi rezultatami w postaci niskiej wydajności i wynikającego z niej niedostatku dóbr niezbędnych do zaspokajania potrzeb bytowych.

Otóż twierdzę, że jest inne wyjście z tej sprzeczności. I są przykłady potwierdzające możliwość przekształcenia tego, co jest naszą słabością — w źródło wyższej sprawności produkcyjnej. Przykłady ze społeczeństw najdalej na Wschodzie — takich jak Japonia, obydwie Koree czy Singapur — które skutecznie doganiają w wydajności wcześniej uprzemysłowione potęgi gospodarcze. Rozważając przyczyny tej efektywności specjalści zachodni zwracają uwagę, iż u ich podstaw leży rezygnowanie z nasłodnictwa dróg rozwoju społeczności wcześniej uprzemysłowionych i wykorzystywanie tradycyjnie ukształtowanych stosunków międzyludzkich. W tym i stosunków jedności między życiem osobistym a zawodowym w interesującej nas tu kwestii, różnica polega na tym, że o ile w USA pracownika niezbyt sprawnego wyrzuca się z pracy, skazuje na bezproduktywność i obarcza kosztami jego utrzymania ogół podatników, to w Japonii np. uważa się za bardziej celowe, by zakład zatrudniał go nadal i okazuje się to w ostatecznym rachunku korzystne nie tylko dla tego typu pracowników, ale i dla zakładu. A dzieje się tak dlatego, że traktuje się tego typu zatrudnienie nie jako brzemię, zatrudnienie socjalne, ale jeden ze sposobów doskonalenia organizacji pracy. Paradoksalne, ale prawdziwe. Zmusza to bowiem organizatorów pracy danego pracownika do wykrycia co umożliwiłoby pogodzenie jego indywidualnych kłopotów z wywiązywaniem się z obowiązków zawodowych, bądź umożliwiłoby opuszczenie się w pracy pracownikowi leniwemu. Podejście to okazuje się na tyle efektywniejsze ekonomicznie i korzystniejsze społecznie, że budzi podziw i zazdrość światlejszych Amerykanów.

Jeśli na kimś mielibyśmy się wzorować, to raczej na bliższym naszym tradycjom i wartościom przykładzie dalekowschodnim niż dalekowschodnim. Uczymy się, jak z tego, co stanowi teraz naszą słabość uczynić źródło siły — zarówno wyższej wydajności jak i humanitarnej pracy. Rozwiązanie to ma ponadto tę zaletę, że o ile wyrzucanie pracowników mniej wydajnych z powodów osobistych przetrzuca koszty na ogół społeczeństwa i pogarsza położenie szeregowych pracowników — to obarczanie menedżerów obowiązkiem takiego usprawniania pracy, by każdy mógł i musiał wywiązywać się ze swych obowiązków, zwiększa produktywność ogólnospołeczną i zmniejsza zagrożenie następnych konfliktów robotniczych.

Łamać ukształtowane przez wieki obyczaje, nawyki, reguły stosunków międzyludzkich każdy głupi potrafi. Do wykorzystywania tego co w nich cenne dla życia społecznego, adaptowania do nowych warunków, przekształcania tego, co pozornie szkodliwe w korzystne — niezbędny jest namysł i pomysł. Czyli stawka na to niedostatecznie wykorzystywane bogactwo narodowe Polaków, jakim jest nasza zbiorowa mądrość.

MARIUSZ GULCZYŃSKI

4 ODGŁOSY

Wśród do godziny ósmej powinien pan rozmawiać telefonicznie z rolnikami. Telefon jednak milczy...

— No cóż, chłopci dzisiaj nie dzwonią. Widać mają inne sprawy na głowie.

— Może dyskutują nad projektem nowej ustawy o emeryturach?

— Ten projekt nie jest zły.

— Ale jedno się tam nie zmieniło. Jak się nie ma następcy, trzeba zdać gospodarstwo państwu.

— Ziemia jest podstawowym środkiem produkcji. Nie wolno dopuścić do tego, żeby do samotnej staruszki przyszedł cwaniak, zaoferował jej połowę ceny za gospodarstwo, bo to wystarczy, gdyż babcia długo nie pożyje. Albo żeby ktoś inny wkraść się w łaski starego człowieka, proponował dożyciowie za gospodarke, a pa-

puszczalne. Wydałem zakaz stosowania podobnych praktyk. Od rolnika nie wolno wyludzić zboża ani straszyć go sankcjami. Z rolnikiem trzeba rozmawiać. Bo zboże jest. Ale nie wpadajmy z tego powodu w samospokojenie. Prawie każda gmina zużywa więcej zboża niż sprzedaje. W kraju trzeba skupić 5,5 mln ton, nie ma alternatywy. Jest natomiast nadzieja, że zimą chłopci zaczną młócić...

— W suche lato prawie wszystko zebrano kmbajnam.

— W końcówce fazy żniw poszły kmbajny. Przedtem były kosiarki i snopowiązałki. W sąsiedkach leżą nie młócone snopy. Nie w stogach, bo raz w oczy.

— Może ile ustawione ceny? Zboże i ziemniaki szły prawie po równej cenie.

— Musiała być konkurencja dla zboża. Zboża zapowiadały się dobrze, a ziemniaki wręcz katastroficznie. Ale cenę na ziemniaki konsumpcyjne zaczęto stopniowo obniżać. Gdy o-

zwyczajeni do gotowego, do pasz za dolary?

— Więc co nas czeka z nowym rokiem?

— No, myślę, że coś drgnie... Rolnik dostaje już 40 kg paszy za sprzedanego tuczniaka, więc pogłowie nie powinno się zmniejszać.

— Rolnik twierdzi, że hodowla świń się nie opłaca. A jednocześnie nie chce dotacji...

— To się konsultuje ze związkami branżowymi. Teraz liczą się dostawy środków produkcji i właściwe ustawienie cen. Dotacje dla rolnictwa w skali kraju wynoszą 75 mld zł.

Mniej niż jedną trzecią tej sumy pochłania żywność, reszta idzie na nawozy, maszyny i usługi dla rolnictwa. Zmniejszenie dotacji to wzrost cen środków produkcji oraz cen skupu, a zatem podniesienie cen żywności średnio o 35 proc. Kto by to wytrzymał?

— Do niedawna niedostatek wierzprowiny i wołowiny rekompensował drób oraz mleko i jego przetwory.

— Czasem mam ochotę na-

— Ciasno. Ale kto mówi, że mamy być województwem rolniczym? Czy mało takich w kraju? Sieradz, na przykład, nawet za sto lat nie osiągnie łódzkiego potencjału przemysłowego. To trzeba wykorzystywać, dogadać się, współpracować. Łódź wcale nie chce do- stepu do morza. Ale może w wielu dziedzinach, w tym także w produkcji żywności, użyć gospodarce narodowej. Już dziś mamy nadwyżki warzyw i kwiatów.

— Małe działki — wyższe plony. I rekord świata w rozdrobnieniu: na 100 tys. ha ponad 23 tys. gospodarstw.

— Toteż trzeba odpowiednio kształtować strukturę rolną. Gospodarstwa karłowate nas nie wyżywią. Ale na całym świecie wokół miast są takie gospodarstwa, a na nich dwuzawodowcy. Nie zajmują mieszkań w mieście, nie wykupują żywności. Sprzedają za to nadwyżki ze swych działek. Wszystko świeżutkie: drób, jajka, warzywa, mleko, króliki, ziola...

— A złośliwi twierdzą, że pan popiera milionerów.

— Popieram uczciwych milionerów, solidnych, dobrych gospodarzy. Dzisiaj, gdy wożymy placzą, taki dobry gospodarz hoduje, na przykład, dwieście świń, i jemu to się opłaca. Takie duże gospodarstwa są przyszością polskiego rolnictwa. Już reforma rolna gwarantowała chłopom gospodarstwa do 100 ha.

— A dziś rolnicy domagają się zapisu w Konstytucji o trwałości chłopskiej gospodarki rodzinnej.

— Taki zapis jest już w kodeksie cywilnym. Wzrasta zainteresowanie ziemią, spadają zasoby PFZ w województwie. Jeszcze nie wszyscy wiedzą, że w strefie miejskiej hektar ziemi klasy IVB, a jest tu u nas najwięcej, będzie kosztował wg cen państwowych tyle, co 50 kwintal żyta wg obowiązujących aktualnie cen skupu. Jesli kwintal zboża za 1500 zł, to hektar 75 tys. zł. A gdy ziemia w cenie, chłop zaczyna jej szukać. Młodzi chcą się określić na wsi, widząc niezłe perspektywy: godziwe ceny na płody rolne, uczciwą kontraktację, zobowiązującą obie strony do rzetelności, spływ środków produkcji...

— Rzecz w tym, że teraz brakuje nawet wody, bo latem wyschły studnie. I co tu mówić o hodowli?

— Inwestycje w rolnictwie trzeba ograniczyć do najważniejszych. My główny nacisk kładziemy na budowę wodociągów.

— Latem jest sucho, ale jak popada, na polu tonie się w błocie.

— Toteż drugim najistotniejszym kierunkiem w inwestycjach staną się melioracje.

— Trudno na glebach o słabych klasach bonitacyjnych uzyskać wyższe plony. Zwłaszcza w kryzysowej sytuacji...

— Gdy nie ma nawozów i sprzętu, najważniejsza staje się agrotechnika. Dlatego tradycyjnie, z całą pompą, rozpoczęłam szkolenie rolnicze na wsiach. Niech rolnik przynajmniej wie, kiedy siał, gdzie i jakie stosować nawożenie. Jeśli upewni się, że tu kawałek trzeba wapnować, bo gleba kwaśna, drugi zaś wzmocnić fosforem, osiągnie lepsze plony.

— Jest pan optymistą.

— Powiedzmy, że umiarkowanym. Marzy mi się na przykład, samochód-laboratorium, w którym ruszą na wies fachowcy ze Stacji Chemiczno-Rolniczej. Przez głośnik obawieszczą, o co chodzi...

— Wiesz nie lubi takiej propagandy!

— Ależ ja nie myślę o taniej propagandzie! Chce, żeby fachowcy rozmawiali z ludźmi, żeby trafili do każdego gospodarstwa. Jeśli dokładnie poznamy strukturę gleb i zastосуemy właściwą agrotechnikę, nawet ze słabej ziemi wydzie się niezłe plony. To musz dać efekty. Proszę zauważyć, że w kryzysie najdokuczliwszy jest brak artykułów przemysłowych. Nie żywnościowych! Tak, tak, to słabe rolnictwo ratuje nas w kryzysie. I dlatego trzeba mu pomóc.

— Dziękuję za rozmowę, panie prezydencie. No i spełnienia marzeń...

Nie chcemy dostępu do morza

Rozmowa z inż. LECHEM KROWIRANDĄ, wiceprezydentem Miasta Łodzi.

tem dziadek zostaje bez opieki.

— Dobrze, panie prezydencie. Ale czemu ci chłopci nie dzwonią? Bojętkuła urząd, stracił zaufanie do władzy?

— Zawsze jest pełno interesantów. A dzisiaj po prostu chłopci nie muszą dzwonić.

— Dlaczego?

— Bo w gminach znowu są wojskowe grupy operacyjne i rolnicy załatwiają swoje problemy na miejscu.

— To znaczy, że wojsko załatwia sprawy, które załatwiała administracja.

— Takim uogólnieniem krzywdzi się wielu pracowników urzędów gminnych. Najbardziej krytykowane są placówki obsługujące rolnictwo. Reforma jest dobra, ale nowe prawo spółdzielcze i samodzielność GS „Samopomoc Chłopska” czy SKR nie zawsze wychodzą chłopom na zdrowie. Każdy sobie rzepkę skrobie. A rolnik nadal pozostaje ubogim pentetem, chociaż ma sporo pieniędzy w kieszeni.

— Bo nie ma co za nie kupić.

— Wiesz dostała o wiele więcej sprzętu niż przed rokiem. Ale to i tak za mało, trudno więc coś zdobyć.

— Kto, według pana, winien dostawać deficytowe środki produkcji?

— Przede wszystkim młodzi, na dorobku, rokulający nadzieję na zwiększenie produkcji.

— Idzie taki młody rolnik do gminy i mówi, że hoduje krowy, a paszy geosowskiej nie korzysta, ale strasznie mu potrzebna brona ciągnikowa. Odpowiadają, że owszem, jak przywiezie dwie tony zboża. Po tej transakcji musi zarządzić jedną krowę. O to nam chodzi?

— Absolutnie! To jest niedo-

padła do 900 zł za kwintal, wiesz przestała sprzedawać ziemniaki. Przemysł ziemniaczany nie ma zapasów. Jest cukier, a może nie być cukierków, gdyż brakuje syropu ziemniaczanego.

— A mnie pewien rolnik powiedział, że jedzą po młynach, żeby kupić trochę otrab bo mu 60 świń zdycha z głodu.

— Zły z niego gospodarz.

— Państwo obiecało paszę, a potem nie dało. Chłop mówi, że gdyby pasza była ogólnie dostępna, w magazynach GS byłoby pełno zboża.

— Pasza za kontraktację — tak. Ale nie w wolnej sprzedaży. A reszta z czego zrobić tę paszę?

— Magazyny są zawałone workami.

— To jest zakłętą kołol. Nie ma skupu, więc pasza leży, bo nie ma kto brać. Jedni wzięli za sprzedane zboże trochę należnej paszy, a reszta węgiel Zaraz! Czemu pan się uśmiecha?

— Przypomniało mi się pańskie jasnowidzwo sprzed czterech lat. Że będziliśmy jeść pieczone prosięta.

— Omyliłem się?

— W końcu 1980 roku ówczesny wicepremier zachęcał do konsumpcji prosiąt z kaszą gryczaną. Pan wtedy walczył, żeby w Łódzkiem nie dopuścić do rzezi prosiąt.

— Udało się temu zapobiec w znacznym stopniu.

— Ale dzisiaj jest ciężko. Pasza leży w magazynach, zboże w sąsiedkach, na strychach, a chłopci wyrzyna ją maciorami...

— Niestety, smutna prawda. Może trzeba było wcześniej dać dodatek pieniężny i paszowy dla macior? Może staliśmy się za wygodni, za bardzo przy-

rysować małego kurczaka i podpisać: „Oto wróg Reagana”. W województwie stoi wiele ferm kurzych. Przystawienie się na polską paszę, tę z lubiną, potrwa ze dwa lata...

— Przed laty wokół Łodzi było bez liku stawów, w których żyły ryby bez podawania paszy. To wszystko zarosło...

— Proszę zobaczyć, ile stawów wykopano w okolicy Rydzyn lub Nakielnicy. Tam, gdzie teren bagnisty, nieużytki lub zarosnięte stawy, państwo zwraca rolnikowi koszty rekultywacji. Nie wolno kopać stawów na dobrych gruntach. Natomiast na nieużytkach powinny być stawy, woda i tyczy.

— Widocznie nie wszyscy o tym wiedzą. A co z mlekiem, panie prezydencie?

— Nikt mi nie wzmieni, że wokół Łodzi niepotrzebny jest „pierścień mleczny”. Obory wzniesione w chłopskich zagrodach dadzą efekty. Chłop jest ekonomistą, musi wykorzystać każdą złotówkę, którą włożył w budowę. Ostatnio rolnicy otrzymują po 15 kg paszy za 100 l sprzedanego mleka. To może nieco przyhamować spadek pogłowia. Dzisiaj nie chodzi o dynamiczny wzrost, lecz o utrzymanie stanu hodowli.

— Pierścień mleczny nie da mleka dla 1.200 tys. mieszkańców.

Daje 113 mln litrów rocznie, a potrzeba 550 mln. Powinno więc być 230 tys. sztuk bydła, w tym 160 tys. krów. Ale na wyżywienie takiego stada potrzebne jest 200 tys. ha bazy paszowej. Tymczasem całe województwo, łącznie z drogami, lasami i miastami, zajmuje powierzchnię o połowę mniejszą.

— Ciasno w tych włościach, panie prezydencie.



Foto: R. Łuczyszyn

Rozmawiał: RYSZARD BINKOWSKI

Sily na zamiary

EUGENIUSZ IWANICKI

10843-A

Co roku tysiące ton jablek stawały się pokarmem trzody; była gnity w wiejskich oheńskich truskawki, robactwo zżerało dorodne śliwki, marnowały ogórki, kapusta i pomidory pleśniały porzeczki. A tuż obok w zasięgu ręki, dymią komini Zakładu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego. Chłopskie wozy wyładowane po brzości ciągnęły asfaltowym traktem, a rolnicy smętnym okiem spoglądali na budynki otoczone wysokim murem. Jedynie nieliczni mogli dostarczać tu płody ze swoich pól i sadów. Reszta odjeżdżała albo do pobliskiego miasta, albo z bólem w sercu rzucała do świąskiego koryta dorodne antonówki. Marnowała się żywność. Wiedzieli o tym chłopcy, dyrekcja przetwórci, władze gminne, wojewódzkie, centralne. Ale każdy na swój sposób rozkładał ręce w geście bezradnym i rozpaczliwym: trudno — siła wyższa. I tak przez lat dwadzieścia z okładem. Rokrocznie tracono miliardy złotych wyrzucając żywność na przygni, pozwalając na jej gnienie w sadach i na polach.

Nie jest to powieść zmysłowa. Piszę o Zakładzie Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Gorczyńcu, podległym Przedsiębiorstwu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Sieradzu a znajdującym się na terenie gminy Łask. Będzie to więc opowieść smutna z optymistyczną perspektywą, opowieść o ludziach, zakładzie, reformie i samodzielności. O tym, co przez te dwadzieścia parę lat było hamulcem, a także o tym, czym może się stać przetwórcia, jeśli zamierzania odważnych ludzi w pełni się powiodą.

Ludzie w ZPOW w Gorczyńcu zawsze odznaczali się samodzielnością w myśleniu. Nigdy bez zastrzeżeń nie akceptowali modnych przedsięwzięć ani nie ulegał amokowi powszechnego rozpręczenia. Pa miętami, jak we wrześniu 1960 r. kiedy strajki zaczęły z szybkością pożaru rozszerzać się na kraj kiedy ktoś gorliwy zaczął nawoływać do przerwania pracy, jedna z robotnic krzyknęła: „Kobitki, co też wy? A śliwki? Jak poleżą za dwa dni to koniec”. A Anna zdecydowanie stwierdziła: „Pewnie, strajki strajkiem, a śliwki trzeba zworkować”. I cała załoga zabrała się do roboty. Zwyciężył zdrowy rozsądek i poczucie odpowiedzialności. Co prawda, później, różni mieli za złe tym kobietom, twierdząc, że strajki był sprawą nadzwaną, ale tamta decyzja pozwoliła na dostarczenie na rynek tysięcy słoików kompotów i dżemów.

Obecnie ta sama załoga podjęła kolejną, ważną decyzję. 28 listopada 1981 r. na ogólnym zebraniu przyjęło jednoznacznie uchwałę w sprawie wystąpienia z Przedsiębiorstwa FOW w Sieradzu i usamodzielnienia się z dniem 1 stycznia 1982 r. Motywując ten krok, napisano:

„Głównym powodem podjęcia takiej decyzji była krzywdząca Zakład w Gorczyńcu polityka inwestycyjna prowadzona przez Przedsiębiorstwo w Sieradzu i wynikiem stał się rozgorzenie załogi ZPOW w Gorczyńcu posiadającej tylko jedną halę produkcyjną wybudowaną w latach 60-tych, natomiast pozostałe pomieszczenia produkcyjne powstały z adaptacji zabudowań byłego majątku ziemskiego (obory, stodoły). Warunki pracy w sposób drastyczny kolidują z wymogami sanitarno-epidemiologicznymi i bhp. Mimo to zakład wypracowywał zyski (1976-1980 — ok 14 mln zł), które jednak w okresie przynależności do Przedsiębiorstwa FOW w Sieradzu systematycznie malały, by w 1981 r. osiągnąć saldo ujemne (-3,8 mln zł). W tym samym okresie czasu lepiej wyposażone i nowoczesniejsze ZPOW w Sieradzu i Meckiej Woli przynosiły straty. Pomimo tego zainwestowano w nie około 57 mln zł na zakup nowoczesnych maszyn i rozbudowę zaplecza produkcyjnego, natomiast w Gorczyńcu kwota ta wyniosła zaledwie 14 mln zł. W efekcie SZPOW w Sieradzu stały się w miarę nowoczesnym zakładem, natomiast ZPOW w Gorczyńcu mimo osiągnięcia dobrych wyników produkcyjnych nie został zmodernizowany.

Za usamodzielnieniem się Zakładu przemawiają również następujące fakty: 1. Odmienny profil produkcji (konserwy drobiowe, warzywno-mięsne), 2. Likwidacja pośrednictwa Przedsiębiorstwa w zaopatrywaniu się w surowce, materiały i o pakowania, 3. Całkowite przekazanie spraw działalności inwestycyjnej do dyspozycji Za-

kładu pismem SZPOW w Sieradzu, 4. Pozytywna opinia banku finansującego działalność zakładu w sprawie prowadzenia samodzielnej działalności gospodarczej.”

Tyle w uchwale. Jest to krok ważki i dla dalszego funkcjonowania przetwórci w Gorczyńcu niezwykle istotny. Racje załogi są bezsporne: przez kilka lat, kiedy Gorczyńcu był filią SZPOW w Sieradzu, musiał niejako swoimi zyskami niwelować straty powstające w całym przedsiębiorstwie, natomiast na koniec w planach inwestycyjnych. Słowem: ludzie pracowali na utrzymanie sporej grupy urzędników, z których prawdopodobnie wielu nie wiedziało, gdzie ów Gorczyńcu leży i co tam się robi. Może przesadzam, ale zawsze byłem przeciwny powstawaniu tzw. „czap”. Teoria Parkinsona znalazła w Polsce podatny grunt i w praktyce prześcignęła najsmielsze oczekiwania jej twórcy. Prawo samoczynnego wzrostu biurokracji, owa rosnąca piramida urzędnicza zahamowała niemal całkowicie postęp. Prawo to nie ominęło przetwórci owocowo-warzywnego. Ktoś wpadł na pomysł, by przedsiębiorstwo łączyć w zespoły, zjednoczenia czy zrzeszenia. Było oczywiście sporo argumentów „za”, natomiast nikt nie myślał o tym, że powstająca „czapa” automatycznie będzie potrzebowała kilku prezesów, samodzielnych specjalistów, doradców, referentów, księgowych, maszynistów, kierowców, samochodów do wyjazdów w tzw. teren i nowego, dobrze wyposażonego biura, nieruchomości całego gmachu na swoją siedzibę. Opowiadanc

mi w Gorczyńcu, że zdarzało się, iż przyjeżdżający do zakładu kontrolerzy z przedsiębiorstwa pytali ludzi, co by chcieli u siebie zmienić, a potem te ich życzenia przychodziły jako bezwzględne zarządzenia pokontrolne, że to niby kontrolerzy stwierdzili te braki. Smieszne, ale prawdziwe. A czy nie jest absurdalna sprawa z zaopatrzeniem? ZPOW w Gorczyńcu nie musi starać się o surowce, jeżdźni po kraju, przywozić je własnymi środkami, natomiast wszystkie faktury, kwity, przekazy itp. zamiast iść prostą drogą ZPOW Gorczyńcu — dostawca muszą swoje odleżeć w Sieradzu.

Zakład w Gorczyńcu od lat zaopatruje w swoje wyroby Łódź, Piotrków, Sieradz, Śląski Okręg Przemysłowy, ostatnio doszedł Belchatów. Ale zakład się kończy, za rok, dwa rozsyplą się stare, zużyte maszyny, staną ciągi produkcyjne. Mechanicy już teraz powyciągali ze złomowisk agregaty, które niegdys usunęto z hal — reanimują je, bo produkcja nie może ulec zatrzymaniu, rynek żąda przecierów, kompotów i dżemów. Produkcja i sprzedaż za minione trzy kwartały osiągnęła już 140 mln zł, natomiast wartość środków trwałych w zakładzie wynosi zaledwie 25 mln zł. Bo Gorczyńcu przez te dwadzieścia kilka lat był niedoinwestowany, gdyż przedsiębiorstwa, którym ciągle podlegał, dbały zawsze o rozwój własnych zakładów. Czekać — mówiono — wybudujemy u siebie, wtedy przyjeździemy do was. Tak przez ćwierć wieku.

JAN KRAWCZYK — dyrektor zakładu, mówi, że z chęcią

wprowadzenia reformy ludzie pojeśli, że stanęli przed ogromną szansą. Na zwołanym z ich inicjatywy zebraniu, mówili, że nie chcą aby za ich pieniądze budowano innym przytulne hale i wstawiano do nich nowoczesne maszyny, nie chcą utrzymywać tak wielkiej administracji, chcą samą decydować co robić z osiągniętych zysków. Zasilimy budżet państwowy i doprowadzimy zakład do tego, że w całej okolicy nie zmaruje się ani jedna truskawka i nie zgnie się ani jedno jabłko. Usamodzielnimy się — mówi dyrektor — od 1 stycznia 1983 r. Jestem przekonany, że damy sobie radę. Ludzie chcą pracować, chcą pomagać w rozbudowie zakładu. Bardzo liczę na nowe związki zawodowe, do których przystąpiło 87 proc. załogi. Będzie to Niezależny Samodzielny Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Spożywczego. Mamy już swój statut i lada dzień wystąpimy do Sądu Wojewódzkiego w Sieradzu z prośbą o rejestrację. Co ciekawe, to fakt, że grupę inicjatywną powołało na produkcję, że sami robotnicy zwołali zebranie. Grupa jest spora, ale jest to reprezentacja wszystkich zawodów, a przy tym samo zorganizowanie nowych związków wymagało sporo wysiłku i prac czysto protokolarnych (przygotowanie przemówień, uchwały, opracowanie dokumentów dla sądu itp.). Proszę nie zapominać, że pracują tu ludzie, którzy nigdy nie siedzieli za biurkami i nie znają się na wszystkich tych zawilosciach.

Tyle dyrektor zakładu, który zanim jeszcze zacytowałem mówić o tym, że związki mają być sojusznikiem i doradcą zarządu, konsultował z załogą co ważniejsze przedsięwzięcia. Kiedy rozmawiałem z trzema kobietami z owej inicjatywnej grupy inicjatywnej (WIESŁAWA CIELEBAN, MARIA PIĘTA i ZOFIA BUCZKOWSKA) mówiły, że przecież aż tak bardzo nie muszą od dyrekcji wymagać, by każdorazowo zasięgała ich rady. Załoga zawsze czuła się tu współgospodarzem, bo ci z dołu najlepiej wiedzą co się opłaca i jak się opłaca produkować. Tak było tu zawsze. Jeśli natomiast zajdzie konieczność obrony pracownika przed niesłuszną decyzją administracyjną — będą go bronić jak tylko potrafią, jednocześnie ani myślą ośmiać nierobów i obiboków. Cieszą się jednak z faktu, że będą samodzielni. To daje im nadzieję, że zakład nie tylko że nie stanie, bo się rozsyplą maszyny, ale że będzie się modernizowało jego

wyposażenie, że wybuduje się wreszcie tak potrzebny magazyn wraz z zapleczem socjalnym.

A fakt jest taki, że nie ma gdzie składować gotowych wyrobów. Kiedy zapytałem o to kierownika JERZEGO SOKOŁOWSKIEGO, powiedział: — Nie wiem co by się z nami stało za rok czy dwa, kiedy ruszymy pełną parą na nowych maszynach, natomiast na dziś prawda jest taka, że istniejący magazyn może pomieścić zaledwie 15 mln. wyrobów gotowych, a my robimy przecież ich za 140 milionów! Po prostu nie mamy gdzie przechowywać gotowych wyrobów. Wstrzymać produkcję? Zresztą istniejący magazyn jest zaprzeczeniem pojęcia słowa „magazyn”. Możemy to obejrzeć.

Magazyn jest kiszkowy, do sufitu zastawiony przymazami słoików i puszek. Nie ma miejsca na wprowadzenie do niego podnośnika, nie zmieści się. Jak na urągawisko, podłoga magazynu jest dwupoziomowa, nierówna, trzeba nie lada umiejętności, aby się w nim poruszać. Ładowanie na samochody odbywa się ręcznie, ręcznie są także ustawiane przymazy.

— Ale już niedługo się to skończy — mówi JERZY SOKOŁOWSKI. — W przyszłym roku rozpoczynamy wreszcie budowę nowego obiektu. Mamy już dokumentację i mamy wykonawcę. Za parę lat nasz zakład będzie nie do poznania a nasza produkcja ulegnie solidnemu zwiększeniu. I to nie tylko w ilości wyprodukowanych słoików, ale wprowadzimy nowe asortymenty. Mamy pieniądze i mamy ambicje. I ludzi, którzy czegoś chcą.

Zakład w Gorczyńcu już 11 miesięcy pracuje w systemie reformy gospodarczej. Dawniej były ogórki wytyczne, plany przysyłane z Sieradza, zadania przychodzące w zaklejonych kopertach. Były to niernaruszalne nakazy, świętość, której nie wolno było szargać żadną najbardziej rozsądną wagą. A tu okazuje się, że wszystko można, że nie jest tabu. Jeszcze w roku ubiegłym ustalono, że zakład w Gorczyńcu osiągnie 130 mln zł. Ale pracując w nowym systemie ekonomicznym, życie zmusiło do dokonania korekt i planu. Po przeliczeniu produkcja będzie mogła przysporzyć dodatkowe 19 mln zł. To dużo, gdyż za tymi milionami kryją się przetwory, setki tysięcy słoików dżemów, konserw warzywnych, soków pitnych, koncentratów pomidorowych i kompotów. Śledzenie produkcji

na bieżąco pozwala jednocześnie na wyeliminowanie marnotrawstwa, psucia się surowca i produktów gotowych, zlikwidowanie zbędnych przestołów maszyn.

— Ludzie nie zdają sobie sprawy z faktu — mówi dyrektor zakładu JAN KRAWCZYK — że nasze wyroby są najtańsze. Nie mówię tego dla reklamy, ale my w tym roku już trzykrotnie obniżaliśmy ceny. W sklepach w Łasku sprzedaje się kompoty truskawkowe po 130 zł za słoik, a nasze takie same kosztują już tylko 80 zł. I to nie dlatego, że mamy gorszy wyrób, ale wynika to z naszego rachunku ekonomicznego. A tak na marginesie: właśnie nasz kompot truskawkowy posiada krajowy znak jakości. Więc nie jest to wyrób ani gorszy od innych ani mniejszy. W sumie znaków jakości mamy trzy, ubiegamy się o dwa dalsze. To także zobowiązanie. Obniżyliśmy ceny papryki marynowanej, dżemu itp. To nie koniec, wraz z obniżaniem kosztów produkcji, ceny naszych wyrobów będą jeszcze niższe. A koszty to: wyszukiwanie rezerwy, przesuwanie jak największej liczby bezpośrednio na produkcję, niezwiększanie administracji. Jeśli ktoś z kobiet odchodzi na macierzyński, jej prace muszą wykonywać inne. Zdarza się, że przy taśmie nie tak dawno pracowało 12 osób, teraz zostało 10. I to nie my o tym decydujemy. Same kobiety protestują przed zatrudnieniem, uważając, że im więcej zarobią tym osiągną większe zyski. Tu jest akord, wyścig, kto lepszy ten ma więcej.

Dyrektor nie powiedział wszystkiego. W roku ubiegłym zakład wyprodukował 1,629 ton przetworów, a za trzy kwartały tego roku ta ilość została już przekroczona i do końca grudnia osiągnie 1,908 ton. Jest to sporo, 300 ton więcej niż planowano.

Rozmawiałem także o cenach. Skoczyły gwałtownie. Jeszcze rok temu kilogram truskawek kosztował 25 zł, w tym roku zakład płacił już 60 zł, wiśnie z 30 zł wywindowały się na 100 zł śliwki z 8 zł, na 40 zł. Zdrożały także opakowania: słoik kosztował 90 groszy i tyleż kosztowało wieczko, dzisiaj za oba te elementy płaci się 10 zł. Tak więc czysty zysk zakładu wynosi zaledwie 8 proc., reszta to koszty amortyzacji itp. Ale owe 8 proc. to suma nie do pogardzenia, bo aż dwa mln złotych. Czy więc mając taki zysk można myśleć o samodzielności? Sądze, że tak i że załoga przetwórci w Gorczyńcu dobrze rozważała wszystkie za i przeciw przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Z cenami, z produkcją i jej jakością wiąże się inne posunięcie wprowadzone od niedawna: premia. Kiedyś jej nie było, dziś jest poważnym bodźcem w pracy. Nie jest to wszakże sztuczne zwiększenie zarobków. Jeśli jakaś grupa, powiedzmy zatrudniona przy produkcji dżemu, nie miała na swoje wyroby reklamacji — otrzymuje premię w pełnej wysokości. Jeśli jest reklamacja niewielka — połowę, przy reklamacjach większych — nie dostaje nic. A więc dbałość o jakość już przy kotłach, przy taśmie, u samego początku procesu produkcyjnego. Gdy kobieta odchodzi ze stanowiska na tak zwane „chorobowe” — premii także nie otrzymuje. W dyrekcji twierdzą że teraz jakby ludzie nie chorują, a jeśli już — ktoś przynosi zwolnienie, to wiadomo, że jest naprawdę „chory”, a nie robi przedwzięte porządki w domu.

Wspomniałem na wstępie, że okolice Łasku są istnym zagłębieniem truskawkowym, że są całe plantacje ogórków i wielkie sady. Jak sięgam pamięcią zawsze postuluje się w tej okolicy wybudowanie przetwórci z prawdziwego zdarzenia, by nie marnowało się to, co stanowi ważny składnik naszego stołu. Teraz taka szansa stanęła przed Zakładem Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Gorczyńcu. Dziś produkuje się tam prawie dwa miliony ton przetworów, za dwa trzy lata chciałoby się, aby osiągnęło pięć milionów ton. I tego życze odważnej załogi.



Foto: M. Zajdler

Nasz czas przeszły

1 W XIX wieku Łódź była najbardziej dynamicznie rozwijającym się miastem w Królestwie Polskim. W 1860 roku liczyła 32 600 mieszkańców, a w 1897 roku już 314 020. Przed wybuchem I wojny światowej (1914) przekroczyła 500 000 ludności i stanowiła największe skupisko proletariatu wielkoprzemysłowego na ziemiach polskich.

Równocześnie Łódź nie posiadała centralnego wodociągu, kanalizacji, nie mówiąc już o oczyszczalni ścieków. Mogła „pochwalić się” największym na ziemiach polskich wskaźnikiem śmiertelności, wynoszącym aż 20 proc., a przeciętna długość życia robotnika osiągała w tym czasie 38—40 lat.

Poziom kulturalny społeczeństwa łódzkiego w tym czasie przedstawiał się fatalnie. W latach osiemdziesiątych ilość analfabetów wynosiła 72 proc. (81 proc. wśród chrześcijan, a 82 proc. wśród Żydów). Najbardziej „wykształconą” grupę stanowili Niemcy z niskim procentem analfabetów. Dopiero w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku liczba umiających czytać i

dzienie wspomnianych brzuszek zachęciło księgarza Alfreda Zonera do publikowania tanich (10—15 kop.) książeczek przyrodniczych. Kupowała je młodzież, a także robotnicze kółka samokształceniowe. Zaczął więc wydawać różnego rodzaju praktyczne poradniki, a wśród nich broszurę „Jak zostać dobrą służącą”. Zawierała ona omówienie obowiązków wobec chlebodawcy, porady odnośnie prania, sprzątnięcia, a także pouczenie, kiedy należy mówić: proszę wielmożnego pana, proszę jaśnie pana, jak zwracać się do gości itd.

3 Zmniejszanie się analfabetyzmu wśród proletariatu wpłynęło na wzrost ilości publikacji adresowanych do robotników i czytanych przez nich. Należy wyróżnić trzy typy tego rodzaju druków:

- 1) Literaturę polityczną wydawaną przez partie robotnicze i krypto-robotnicze,

wych barykad i strajku październikowego. Policja i ochrona zlikwidowały drukarnię 6 listopada 1906 roku. Wówczas SDKPiL zaczęła w szerszej mierze wykorzystywać drukarnie prywatne, o dziwo — czasem za cichą zgodą właścicieli. W latach rewolucji 1905—1907 łódzka organizacja SDKPiL wydała co najmniej 321 odezwy i innych druków ulotnych, a oprócz tego razem z Bundem i PPS-Lewica 6 odezwy. Oprócz tego nieregularnie drukowano czasopismo „Do Walki” (14 numerów) oraz „Vörwarts”. Czasopisma wykonywano przeważnie w drukarni gazety „Łódzkiej Zeitung”.

Jeśli chodzi o drukarnię PPS, to na polecenie Józefa Piłsudskiego Antoni Burkot, z zawodu zecer, zainstalował „bostonkę” przy ul. Wólczańskiej. Odbijano od lipca 1905 r. ulotki i odezwy (także w języku rosyjskim — do żołnierzy). Wydrukowano tam także kilka numerów „Łódzianina”, organu PPS na okręg łódzki.

Po roku PPS uruchomiła drugą drukarnię w Pałacu Poznańskich w mieszkaniu dozorczy. Tam wykonywano przeważnie tylko składy zcerskie, które przewożono do drukarni legalnych. Po pewnym czasie obie drukarnie połączono i zainstalowano przy ul. Wólczańskiej 123 w sąsiedztwie warsztatu wędliniarzkiego. Drukarnia działała do końca 1907 r.

Nielegalne druki przyczyniły się do wzrostu czytelnictwa wśród robotników. W tym okresie nasiliła się także akcja walki z analfabetyzmem i działalność oświatowo-kulturalna. Hasło: „Oświata dla robotników” stało się soczewką skupiającą nie tylko wysiłki partii robotniczych, ale także znacznej części postępowej inteligencji.

Rewolucyjna droga Wincentego Matu — szewskiego

Antek z Bałut i ekonomia polityczna

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

pisząc wydatnie wzrosnąć. Ale nie tyle na skutek rozbudowy szkół, ile akcji oświatowych podjętych przez partie polityczne, związki zawodowe oraz różnego rodzaju organizacje o charakterze charytatywnym i oświatowym.

Dopóki analfabetyzm był wśród proletariatu zjawiskiem dominującym, trudno jest mówić o produkcji poligraficznej adresowanej do robotników. W propagandzie partyjnej dominowało słowo żywe. Istniał nakaz zarówno w SDKPiL jak i PPS, aby otrzymane ulotki odczytywać najbliższemu otoczeniu.

2 Pierwsze łódzkie druki mają charakter informacyjny. Są to statuty, sprawozdania, informatory handlowo-przemysłowe. Spora ich część jest drukowana po niemiecku, a instrukcje dla kolejarzy — po rosyjsku. Od 1878 r. rozpoczęto w Łodzi wydawanie kalendarzy w formie książek, zawierających „wiadomości potrzebne i pożyteczne”. Obok kalendarzy niemieckich pojawiają się polskie. Produkcja kalendarzowa była adresowana do drobniemiszczanstwa i urzędników. Robotnikom i to zamężnym wystarczył kalendarz ścienny z odrywanymi kartkami na każdy dzień.

W 1899 r. i latach późniejszych tajne Koła Oświaty Ludowej wydały kilka tanich broszurek. Wyszły one spod pióra wytrawnych popularyzatorów: Heleny Radlińskiej („Teofil Lenartowicz — życiorys, poezje”), Bolesława Kalinowskiego („Zwycięzca spod Wiednia”) i innych. Publikacje te cechowały: poprawny język, idealizacja bohaterów, prosty styl. Powo-

- 2) druki różnych organizacji i towarzystw działających legalnie,
- 3) prywatne przedsięwzięcia wydawców, redakcji gazet, właścicieli drukarni obciążone na zysk.

Socjalno-Rewolucyjna Partia „Proletariat” we wrześniu 1883 r. wydała polsko-niemiecką odezwę odbitą dwustronnie na arkuszu dużego formatu. Zawierała ona poza tekstem notkę: „odbito w drukarni „Proletariat” w Łodzi”. Została ona rozplakowana w Łodzi i Zgierzu, rozrzucona w fabrykach, omawiana na zebraniach partyjnych. W czerwcu 1884 ukazała się druga odezwa, wyjaśniająca powody zamachu na szpieła Helsingera w Łodzi.

Adnotacja o miejscu wydania odezwy posłużyła do uformowania opinii, że w Łodzi działała drukarnia „Proletariat”. W istocie, jak wyjaśnił Eugeniusz Ajnenkiel, obie odezwy wykonano nielegalnie w Łodzi, w której z drukarni prywatnych, rzecz jasna bez wiedzy właściciela.

SDKPiL oraz PPS do 1905 roku wykonywały ulotki i odezwy na hektografach, lub w nocy odbijały je w drukarniach prywatnych. Obie partie na terenie Łodzi korzystały z materiałów publikowanych przeważnie w Warszawie.

W związku z wybuchem rewolucji 1905 roku łódzka organizacja SDKPiL szczególnie dotkliwie odczuwała brak materiałów propagandowych. Za pieniądze uzyskane z dochodowego koncertu włoskiego śpiewaka Anzelmiego łódzki SDKPiL zakupił maszynę „bostonkę” (pedał) i zainstalował ją przy Placu Kościelnym 1/3. W domu tym znajdował się zakład pogrzebowy i w trumnach wywożono gotowe materiały. W marcu 1905 r. wyszła spod „bostonki” pierwsza odezwa do strajkujących piekarzy. Nasilenie pracy drukarni obserwujemy przed 1 maja, a następnie w okresie czerwo-

4 Bardziej systematyczną akcją oświatową, aniżeli zespoli i grupy wyłaniające przez aktywistów partyjnych oraz stonkowo nielicznych w Łodzi nauczycieli, podjęło Towarzystwo Krzewienia Oświaty. Działo od 1905 r., chociaż zarejestrowane oficjalnie zostało dopiero w 1907 r. Oprócz kursów dla analfabetów i kursów dokształcających organizowało ono odczyty prelegentów spoza Łodzi. Wśród innych występowała: Natalia Gąsiorowska, Ludwik Krzywicki, Helena Radlińska, Józef Dąbrowski (Grabiec), a więc ludzie związani z ówczesnym ruchem robotniczym.

Wydarzenia rewolucyjne wzmożyły zainteresowania wiedzą społeczno-ekonomiczną. Sytuację wykorzystali księgarz łódzki Alfred Strauch i zainicjował dla bardziej wyrobionych czytelników serię „Nowa Biblioteka Samokształcenia”.

Strauch w drukarni Karskiego wydał: Fryderyka Engelsa „Krytykę ekonomii politycznej” (broszura 40 stron), Włodzimierza Zełenowa „Ekonomię społeczną — kurs wykładów”, Edwarda Bernsteina „Parlamentaryzm a socjalizm” (autor przeciwstawiał swoje poglądy poglądom Marksa i Engelsa), Ludwika Büchnera „Walka o byt i społeczeństwo obecne”. W ramach tejże serii ukazała się „Polityka ludu” Antoniego Mengera, działacza II Międzynarodówki Broszurę Karola Kautskiego „Inteligencja a socjalizm” władze carskie skonfiskowały. Jednakże drukarze uratowali część nakładu i przekazali broszurę do dyspozycji PPS, SDKPiL oraz Bundu.

Wzrost czytelnictwa wśród robotników i młodzieży rzemieślniczej spowodował ukazanie się tzw. „łatwej literatury”. Księgarz Adolf Słomnicki wydawał książeczki z żartami, kupaletami, tekstami piosenek, trawestacjami znanych utworów literackich. Wiele utworów posiadał specjalny łódzki koloryt. Bohaterami pieśni i wierszyków stawali się Mańki z Bałut i Antki z Chojen. Publikacje Słomnickiego (jako wydawcy) stały się w Łodzi popularne wśród robotników. Duże nakłady (3000—5000) zapewniały przy niskiej cenie (10—15 kop.) spory zysk.

Wzrost czytelnictwa wśród robotników, młodzieży i drobniemiszczanstwa spowodował pojawienie się fali literatury brukowej („literatura skandalu”) wydawanej w cyklach zeszytowych po 5—10 kopejek zeszyt. Sprzedawano tę swoistą „literaturę” w kioskach gazetowych, na rynkach i poprzez sprzedawców ulicznych.

Anonimowe powieści bądź przeróbki zagranicznych bulwarówek ukazywały się w oddzielnych zeszytach, mających „pociągającą” okładkę i sensacyjny tytuł. Np. „Księżna Klency — romans z życia”, zeszyty 1—36, „Piękna dziewczyna fabryczna — powieść z życia”, zeszyty 1—36.

Ogółem w Łodzi w latach 1901—1914 wydano dwadzieścia dwa zeszytowe cykle brukowe. Nakłady były różne, od 1500—10 000 egzemplarzy. Bezwartościowe pod względem literackim stanowiły doskonały interes dla wydawców, którzy szermowali wobec władz frazesem, że „taka kultura odciąga robotników od pism burżuazyjnych”.

Swobody kulturalne uzyskane dzięki rewolucji przez społeczeństwo polskie w latach 1905—1907, zeżalenie cenzury sprzyjało upowszechnianiu się czytelnictwa. Zapośredniczenie na słowo drukowane wzrastało do 1912 roku, kiedy to nastąpił ponowny nawrót do rusyfikacji, restrykcji wydawniczych i zaostrzenia carskiej cenzury.

W latach wojny (1914—1918) w oparciu o polską szkołę rozwinięła się ponownie upowszechnianie czytelnictwa. Dużą rolę w tym okresie, podobnie jak w latach 1905—1907 odegra aktywizacja partii i wzrost zainteresowania problematyką polityczną. Lecz jest to już inny okres dziejowy i inny okres w historii rozwoju kultury narodowej.

Z Brzezin — miasta o tradycjach krawieckich — pochodził Wincenty Matuszewski — krawiec z zawodu, zasłużony działacz polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego, rewolucjonista i czerwonogwardzista. Urodził się tutaj 7 lipca 1870 roku w rodzinie drobniemiszczanckiej. Wincenty Matuszewski, obracając się w środowisku robotniczym, zostaje w roku 1899 członkiem Związku Robotników Polskich. Z ramienia tej organizacji działa w Warszawie, Łodzi i Częstochowie. W roku 1892 aktywnie uczestniczy w strajku powszechnym, zaś w roku 1899 jest organizatorem nielegalnego związku krawców warszawskich, a następnie jego przewodniczącym. Od roku 1900 Wincenty Matuszewski sprawuje kierownicze funkcje partyjne w Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL). Jest członkiem Komitetu Warszawskiego i Zarządu Głównego.

Poszukiwany za swą rewolucyjną działalność przez policję, zostaje latem 1903 roku aresztowany, ale udaje mu się zbiec podczas śledztwa. Jednak wkrótce, bo w dniu 1 grudnia tegoż roku jest ponownie aresztowany i więziony do września 1904 roku w Warszawie. Po uwolnieniu z więzienia, Wincenty Matuszewski wyjeżdża do Krakowa, ale po kilku tygodniach powraca do pracy partyjnej na terenie Królestwa Polskiego.

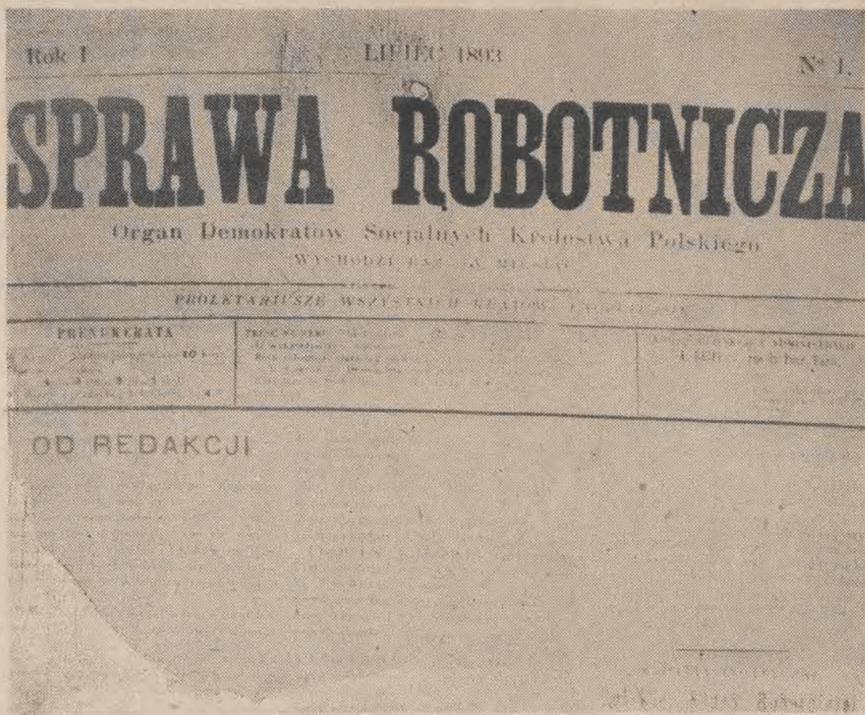
Tu, w Dębach Wielkich koło Warszawy, zostaje po raz trzeci aresztowany w lipcu 1905 roku i jest więziony do października tegoż roku, kiedy to na podstawie amnestii wychodzi na wolność. Od razu włącza się aktywnie w wir walk Rewolucji 1905—1907 roku na terenie Warszawy i Łodzi. Uczestniczy też w kolejnych zjazdach SDKPiL oraz w V Zjeździe Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (1907r.).

Po upadku rewolucji, Wincenty Matuszewski w roku 1908 wyjeżdża ponownie do Krakowa, gdzie jest czynny w ruchu związkowym i gdzie w roku 1909 współorganizuje strajk krawców. W latach następujących na polecenie Zarządu Głównego SDKPiL przebywa w Łodzi, Zagłębiu, Częstochowie i Petersburgu. W swej działalności konspiracyjnej posługuje się pseudonimami: Marcin, Napoleon, Bomba i Jakała.

Październik 1912 roku przynosi jeszcze jedno aresztowanie Wincentego Matuszewskiego. Orzeczeniem Warszawskiej Izby Sądowej z dnia 24 października 1913 roku zostaje skazany na dożywotnie osiedlenie na Syberii. Do czasu zesłania jest więźniem X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej.

Kiedy w wyniku Rewolucji Lutowej 1917 roku obalono carat, Wincenty Matuszewski jest współorganizatorem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Irkucku, członkiem tutejszego Komitetu Miejskiego SDPRR (bolszewików) i założycielem lokalnej grupy SDKPiL. Od sierpnia 1917 roku działa w Krasnojarsku. Tu też zostaje go wybuch Rewolucji Październikowej. W tym czasie Wincenty Matuszewski położył znaczne zasługi na polu rozwoju miejscowej prasy bolszewickiej, będąc współorganizatorem i kierownikiem administracji organu partyjnego „Krasnojarskiej Rabocizj”.

W roku 1918 rewolucjonista rodem z Brzezin walczył na froncie z przeciwnikami rewolucji — w styczniu jako żołnierz — czerwonogwardzista ze zbuntowanymi Kozakami w Krasnojarsku, a potem w oddziale partyzanckim przeciwko kontrrewolucyjnym oddziałom czechosłowackim w okolicach Krasnojarska. Po chwilowym zwycięstwie na tym terenie kontrrewolucji, Wincenty Matuszewski jest organizatorem konspiracyjnego miejskiego komitetu partyjnego bolszewików i tajnej drukarni w Krasnojarsku. Pracując z poświęceniem w konspiracji uważał, że „każda minuta wolności powinna być wykorzystana przez rewolucjonistę, bo jeżeli nie wykorzystana jest na wolności, to będzie za kratą wykorzystana jako kontrrewolucja”. Zginął 3 października 1918 roku, zamordowany przez kontrrewolucjonistów w Krasnojarsku.



HENRYK SZUBERT

Żegnaj monsieur Hulot!

Wysoki, chudy, wąsaty historyk Francois z małego miasteczka nad Loarą rozwija pocztę na swym starym rowerze marki „Peugeot”. Miasteczko przygotowuje się właśnie do dorocznego jarmarku. Dwaj dowieźni, co roku popisujący się na jarmarku swymi fałszywymi, namawiają go, aby unowocześnił swe metody pracy. Francois, który właśnie ogląda niedawno film dokumentalny na temat pracy pocztę w USA, gdzie listy rozwija się helikopterem, chętnie na to przystaje i robi expressową rundę „w stylu amerykańskim”.

Wybuchy śmiechu, jakie powitały w 1949 roku projekcję filmu „Dzień świąteczny”, przypieczętowały sukces 41-letniego wówczas aktora i reżysera, Jacquesa Tati, którego popisy mimiczne podziwiała niegdyś Colette. Długa była historia tego filmu. Początkowo producent nie interesował się scenariuszem, który Tati obmyślił jeszcze w czasie wojny, kiedy przebywał jako uchodźca w miasteczku Sainte-Severe-sur-Indre. Dzięki poparciu finansowemu Freda Oraina film został wreszcie zrealizowany w 1949 roku; zdjęcia plenerowe były kręcone w Saint-Severe.

Jednakże przez dwa lata nie można było znaleźć dystrybutora. Kiedy wreszcie został wyświetlony, odniósł niebywały

sukces kasowy. Na Biennale w Wenecji w 1949 roku uzyskał nagrodę za najlepszy scenariusz — jakkolwiek jego oryginalność była raczej zasługą zabawnych gagów i kierownictwa Jacquesa Tati. W roku 1950 film zdobył Grand Prix du Cinema Français.

Jacques Tati — odkryty, uwieczniony wawrzynem i sławiony jako geniusz — pozostał fenomenem. Po prezentacji „Dnia świątecznego” krytycy zaczęli doszukiwać się jego prekursorów w komedii francuskiej, cytowali nazwiska Jean Duranda, Maxa Lindera i René Claira. Oczywiście szowinizm francuski nie pozwalał przypominać, ile Tati zawdzięczał Busterowi Keatonowi.

W istocie nowy reżyser okazał się twórcą własnego świata, rzemieślnikiem, który czyni cuda z niczego. W jego pełnej marzeń głowie, nieczym w pracowni alchemika, rodziły się myśli dowcipne i poetyczne. Można sobie wyobrazić Tati przygotowującego swe sytuacje w laboratoryjnych retortach, które eksplodują dopóty, dopóki się ich nie okiełzna za pomocą kamienia filozoficznego, czy czegoś innego, równie niewiarygodnego. Oczywiście, filmów nie tworzy się w laboratoriach. Ale Tati należał do rasy upartych eksperymentatorów, dla których nauka jest po prostu

środkiem przewyżczenia kaprysów szansa i technologii. Tati wyprzedził Nową Falę pod względem swobody stylu. Stosował takie środki, jak scenariusze „bez fabuły”, obserwacja zachowania, bardzo osobiste wykorzystywanie dźwięku, unikanie dialogu, zatrudnianie niezawodowych aktorów, itp.

W latach trzydziestych francuskie komedie filmowe (z wyjątkiem tych, które reżyserował René Clair) opierały się na fabułach zapożyczonych ze sztuk teatralnych i na kwestiach napisanych przez dramaturgów, które aktorzy mogli przerzucać, jak piłeczki ping-pongowe. Gdy pojawił się listonosz Tati'ego, wszystko to się zmieniło. Mimika, gest i wizja stały się ważniejsze niż dialog. Ale Tati nie mógł tak obywać się bez dialogu, jak to czynił Chaplin w epoce filmu niemego. Zastosował więc dźwięki — jakieś hałasy, fragmenty rozmowy, gesty, szepoty — które nie dominowały nad obrazem, ale doposażowały się jemu, towarzysząc mu i potęgując satyrę.

Jacques Tati był ponadto realistą, wnikliwym obserwatorem postaw społecznych. W „Dniu świątecznym” i w późniejszych filmach pokazał nam codzienne życie widziane przez pryzmat spojrzenia, które chwyciła interakcja pozorów, wydobytą to, co się kryje pod nimi, a więc rzeczy, które my nie zawsze potrafimy dostrzec ze wzięcia na uwzględnienie społeczne. W „Wakacjach pana Hulota” (1952 r.) pokazał to, co zaczynało dopiero kiełkować we Francji na początku lat pięćdziesiątych: zachowanie się klas średnich na letnich wakacjach w miejscowościach nadmorskich, w owych „tanich małych zakątkach”, o których się powszechnie mówiło. Gdy w pierwszej sekwencji filmu oczom naszym ukazał się urlopowicz przebiegający z walizkami z jednego peronu na drugi, zdezorientowani niewyraźnymi zapowiedziami dworcowego głośnia — było to swego rodzaju wezwanie do Francuzów zrywających urlopu, aby spojrzeli na swe odbicie w zwierciadle.

W tym filmie także aktor Tati zdiął swój uniform wiejskiego listonosza i stał się panem Hulot, drobnym mieszczuchem francuskim, którego niski wzrost zmusza do chodzenia na palcach, pociągania z fajeczki, uprzejmego kłaniania się kapeluszem spotkanym na drodze ludziom i popielniania w całkowitej nieświadomości potężnych gaf, które obracają w niwecz porządek i spokój sennego wakacyjnego hotelu. Od tego czasu Jacques Tati utożsamiał się z panem Hulot. Ten niewinny, pełen optymizmu, nieco nieporadny człowieczek nie był już zwykłym bohaterem komedii, jak Francois, lecz człowiekiem afirmującym swą indywidualność w obliczu społeczeństwa, którego rytuały, manie i konformizm zostały bezlitośnie obnażone w zabawnych gagach sytuacyjnych, będących

swego rodzaju obrazem obyczajów epoki. Przypomnijmy chociażby scenę, kiedy Hulot bierze udział w ćwiczeniach na plaży lub nieco przedwcześnie urządza pokaz ogni sztucznych.

Jacques Tati długo i szczegółowo przygotowywał swe filmy. Ale na ekranie wszystko wygląda na improwizację, czy to będzie moment, kiedy Hulot przechodzi przez ulicę, czy też kiedy wspina się po schodach Hulot starał się, ale jego charakter się nie zmieniał. Popularny bohater „Wakacji” był świadkiem zmian zachodzących w społeczeństwie francuskim. W sześć lat po „Wakacjach pana Hulota” na ekrany wszedł „Mon oncle” („Mój wujek”) — pierwszy kolorowy film Tati'ego. W filmie tym Hulot pokazuje swemu młodemu siostrzeńcowi, synowi i emyslowca, który podobnie, jak i jego żona, jest niewolnikiem współczesnych konwenansów — jak ma wiesz swobodnie i wesoło żyć.

W 1958 roku Francja nie weszła jeszcze w erę społeczeństwa konsumpcyjnego, ale zaczęło już wyrzucać stare budynki, aby na ich miejsce wznosić „lukusowe” bloki mieszkalne. Hulot wolał swój stary dom od burzącej wili swego szwagra Arpela, gdzie wszystko, łącznie ze stawem rybnym, było zmechanizowane.

Pan Hulot nie odrzuca postępu technicznego, jak to mylnie przypuszcza wielu ludzi. Sprzedawca się tylko wyobcowującemu konformizmowi postępu i sieje zamęt, aby zachować wolność i zapobiec dehumanizacji. Ta koncepcja świata zrodziła „Wolny czas” (1967 rok), nad którym Tati pracował wiele lat.

Film ten kosztował fortunę i przyniósł generalną klęskę. Czy Tati dał się wówczas opałowić megalomanią? Nie: wielkie sekweny odtwarzające budynki ze szkła i stali, podobne do tych, jakie wyrastały wówczas na peryferiach Paryża ukazywały olbrzymią dysproporcję między nowymi rodzajami środowiska życia i pracy a mrowkami ludzkimi skazanymi na egzystowanie w tym otoczeniu.

Styl komiczny Jacquesa Tati'ego stał się wtedy pokrewny stylowi Franca Kafki. W labiryntach „Wolnego czasu” poszczególne postacie — zarówno turyści, jak i miejscowi mieszkańcy wakacyjnej miejscowości — tracą swą wolną wolę — z wyjątkiem Hulota, który zanim jeszcze stało się to modne, broni „jakości życia”, siejąc chaos. Tati wykorzystał najnowsze zdobycze techniki filmowej, jak szeroki ekran, stereofoniczny dźwięk, itp., aby zbudować swój mały świat w centrum bezlitosnego, niehumanicznego porządku społecznego, któremu dała początek współczesna cywilizacja. W 1967 roku panowała euforia postępu przemysłowego. Oparta na zmyśle komizmu obserwacja Tati'ego została po prostu umorzona i odnowiona przez tę wizję świata antyseptycznego, zmechanizowanego, ujednoliconego i lodowatego zimnego.

To jednak nie obchodziło widzów, co stało się przyczyną upadku artysty. Wszystkie jego poprzednie filmy przyniosły ogromne zyski, na tym stracił miliony. Musiał zastawić wszystko, co posiadał. W kilka lat później, filmy wyprodukowane

przez jego zbankrutowane przedsiębiorstwo zostały sprzedane na aukcji Tymczasem zdołał jednak wyprodukować „Ruch” (1971) niezbyt kosztowny film, w którym Hulot, stosując swe stare triki, zostaje wciągnięty w różne awarie i korki samochodowe na szosie Paryż-Amsterdam. Powodzenie wróciło. „Ruch” był niejako fałszywym śpiewem Tati'ego.

W 1974 r. artysta, stale negując problemy finansowe, udał się do Sztokholmu na pokaz filmu „Parada” o tematyce cyrkowej. W filmie tym pan Hulot nazwany tym razem panem Lovel, w liryczny a zarazem komiczny sposób pokazuje różne sztuczki dzieciom i dorosłym. I oto nagle stare filmy Tati'ego odżyły na ekranach kin i telewizji. Odkryto go na nowo i znowu wystawiano pod niebiosy. Wydobył z szuflady starą projekcję filmu „Zamęt” i zaczął go przygotowywać do zideł.

A teraz już nie żyje. Bedzie się go gloryfikować jak pomnik, będzie się celebrować jego geniusz, w prasie ukazały się setki pełnych żalu wspomnień i biografii, świat będzie ubolewał, że zamknęła się karta twórczości tak wielkiego artysty filmu. Ale w końcu, całą jego twórczość trzeba na nowo spokojnie prześledzić. Teraz możemy tylko powiedzieć po prostu, ale serdecznie: „Dziękujemy panu, panie Hulot!”.

JACQUES SICLIER
(The Guardian)



Rockowy rok

„Mija rok, dobry rok, z żalem dziś żegnamy go” — śpiewano dziesięć lat temu w popularnej piosence. Co do minionego 1982 roku, nie jestem w stanie powiedzieć czy był dobry czy zły, nawet jeśli ocena taka miałaby dotyczyć wyłącznie rodzimej muzyki rozrywkowej. Toteż zamiast zastanawiać się nad tym, jaki był, spróbujmy raczej pokrótce podsumować, co się od stycznia do grudnia wydarzyło.

Pierwsza połowa roku wymaga tonacji minorowej. Prawie do sierpnia nie grano w przeważającej większości lokalnych gastronomicznych na terenie całego kraju. Takie były wymogi stanu wojennego, wymogi ówczesne, które skracały czas działalności tychże lokalni do wczesnych godzin wieczornych. Gdziegdzie, i to nie zawsze, młodzież bawiła się przy muzyce mechanicznej w dyskotekach — ale też tylko do przyzwyczajonej godziny. Trzeba było przecie wrócić do domu przed nastaniem godziny milicyjnej. Również publiczne imprezy estradowe zostały poważnie ograniczone. Zmalał popyt na płyty, nowości opóźniały się, kaset nie było (i podobno nadal nie ma). Zresztą o tym wszystkim pisałem już półną wiosną nie wiedząc jeszcze wtedy, że jesienią powoli życie w estradowej branży będzie wracało do normy.

Stosunkowo najszybciej powróciło do niej Polskie Radio, które już w marcu, kwietniu, ukształtowało program muzyczny w ten sposób, że chwilowy zastój w pracy studiów nagrańowych był mało wyczuwalny. Kłopoty pionu „rozrywkowego” w Telewizji Polskiej są powszechnie znane, ale i ona próbowała uatrakcyjnić śpiewanymi przerwankami i montażami gotowych fragmentów dawniejszych audycji, co widzieliśmy na małym ekranie nawet w lutym ubiegłego roku.

Nie było w ciągu minionych dwunastu miesięcy gigantycznych imprez Odwołano „Jazz Jamboree”, nie odbył się już po raz drugi z kolei festiwal sopocki. Nie było także festiwalu piosenki w Opolu. Z festiwalowej gali zostały się jedynie: Zielona Góra

i Kołobrzeg. Ogólnopolski Przegląd Piosenki Młodzieżowej odbywający się rokrocznie w Toruniu tym razem nieco skarlał i został przeniesiony do Wrocławia. Zabrakło w polskich estradach występujących gościnnie zagranicznych gwiazd choćby europejskiego formatu. Nie mówiło się też jakoś w ubiegłym roku o oszałamiających sukcesach naszych wykonawców. Podobno — przynajmniej na międzynarodowych festiwalach — panuje zasada: jak Kuba Boga, tak Bóg Kubie... My teraz nie mamy festiwalu, na który moglibyśmy ich zaprosić. Ale tym niech się raczej martwią nasi piosenkarze. Ci ostatni, mimo wszystko, radzą sobie dobrze i przywieźli do kraju kilka nagród.

Czego by się jednak nie powiedziało czy napisało o 1982 roku, to jedno będzie bezsporną prawdą: w polskiej muzyce rozrywkowej dominował rock w wydaniu młodzieżowym. Młoda generacja niejako zawstydziła wykonawców o ustalonej renomie i opieszale działające instytucje zawiadujące rozrywką przeprowadzając zdecydowaną ofensywę na rodzimy rynek muzyczny. Ofensywa uwieczniona powodzeniem, bowiem na szerokiej bazie muzyki młodej generacji, rock ze znakiem „made in Poland” osiągnął apogeum swojej popularności.

Pamiętam, że podczas jednej z dużych imprez zastanawialiśmy się wraz z kolegami dziennikarzami i krytykami muzycznymi nad tym, jak jeszcze długo potrwa ta „era muzyki rockowej”. Prawie wszyscy byli zgodni, co do tego, iż szczyt przypadł właśnie na ubiegły rok, a za półtora roku, może dwa lata, do głosu dojdą inne równie odmienniejsze siły prądy muzyczne i dysproporcje się wyrównają. Wszyscy uczestnicy dyskusji doskonale pamiętali to, czego dzisiejsza rozkochana w roku młodzież ma prawo nie znać: podobna sytuacja była z tzw. big-beatem, zwanym także „mocnym uderzeniem”. To wszystko już było. Historia lubi się powtarzać.

Na tych łamach pisałem o muzyce rockowej kilkakrotnie. Relacjonowałem dwie duże młodzieżowe imprezy z udziałem czołowych polskich grup, zahaczałem nieraz o tę tematykę, ostatnio wspominałem o listach przebojów, gdzie rock święcił stale wielkie triumfy. Pokusiłem się nawet o przytoczenie pewnego bardzo znanego tekstu piosenki. W ten sposób, z racji swego spojrzenia z zewnątrz na całą sprawę, zyskałem sobie — o czym dowiedziałem się od kilkorga młodych ludzi mieniących się zagorzałymi melomanami i fanami — opinię przeciwnika rockowego szaleństwa. A tak nie jest. To prawda, że nie jestem zwolennikiem

przeprzania pały w tę lub inną stronę, opowiadałem się w muzyce za równoprawnym współistnieniem gatunków, ale równocześnie znajduję w rocku elementy, które mi odpowiadają. Mimo że to nie moje pokolenie jest adresatem piosenek znajdujących się w repertuarze takich grup, jak: Maanam, Perfect, TSA, Lombard, Dżem (podobno właśnie uległ rozwiązaniu), Republika i wielu, wielu innych, w tym też łódzkich (Anex, Argus, Brak, Jeep, Krótkie Spieję), to jednak są tam utwory mogące się podobać. A to, że niejednokrotnie pewne sprawy związane z „nową falą” bywają denerwujące, m. in. dla mnie — to już wyłącznie kwestia indywidualnej wrażliwości i muzycznych upodobań słuchacza. Nikomu swojego stosunku do rocka czy nowej wawy nie narzucam, co najwyżej wskazuję słabości i anomalie występujące w ich obrębie.

Cała sprawa, jak wielokrotnie zaznaczałem, jest szersza. Przecież te odmiany muzyki rozrywkowej zataczają coraz większe kręgi nie tylko wśród młodzieży. Rock to dzisiaj potęga. Niech świadczy o tym fakt powołania do życia Federacji Muzyki Rockowej mającej swoją siedzibę w Katowicach. Ale równocześnie pamiętając musimy o tym, by nie tworzyć subkultury wbrew sobie samym, gdyż może nas ona nie wiadomo kiedy pochłonąć. A o tym współczesna młodzież zdaje się momentami zapominać.

Nie chodzi mi tutaj o ponad stumetrową kolejkę, jaka ustawia się na ul. Piotrkowskiej wówczas, gdy w Łódzkim Klubie Jazzowym sprzedaje się, nagrane na żywo w warszawskiej „Stodole”, longplay zespołu „Perfect” wydany przez polonijną firmę „Savior”. Wiem, że są tam przeboje ulubione przez młodocianych melomanów. Myślę raczej o tym, czy nie stoją oni w tej kolejce kosztem paru opuszczonych lekcji. Lecz to, jak wiem z własnego doświadczenia, refleksja, do której każdy musi dojść sam. Oby nie za późno.

Zupełnie niespodziewanie dla samego siebie wpadłem w ton mentorski. Więc lepiej skwitujmy sprawę jednym zdaniem: Rok 1982 był rokiem rockowym. Jaki będzie bieżący, 1983? Nie — mimo autorskiej współpracy z reklamowaną przez byłego Aienta grupą „Pro Rock” z jej solistką Gaygą — nie będę tutaj prorokiem.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Dorota Chróscielewska



Wielkie halo Jakieś sosny plach
I pagórki Garbate i oble
Nieboskłonu splekany dach
co wciąż żywym razi nas ogniem

Wielkie halo Ugór bez sensu
T pustynia ogromna i groźna
Już doprawdy nie można w niej żyć
I doprawdy żyć bez niej nie można

Wielkie halo I gardła ucisk
Do księżycy poetów psj skowyt
Gdzie ostatnia świecił szubienica
długie noce rodaków rozmowy

Ciemno pusto Sosny i plach
Jakieś niebo żagwi się wzwysł
Czy przez całe wieki ma trwać
Jef misterium Ciernie i krzyż

Lecz to ona właśnie nas wchłonie
I niech w soki przetrawi nas żywe
Wtedy ciało stanie się słowem
Przemienimy się niegodni w Ojczyznę



Pijemy słodkie wino
Pijemy gorzkie wino
Nasze zielone gwiazdy
do Oceanu płyną

Pijemy wino cienne
Pijemy wino czarne
Nad wyspą co czeka na nas
świecą czeremchy latarnie

Żył żeglarz co bał się śmierci
Żył żeglarz co śmierci się nie bał
Ten pierwszy pił gorzkie wino
Ten drugi ambrozię pił z nieba

Pijemy wino w rozkoszy
Pijemy wino w męce
Świecą nad Oceanem
z gwiazd naszych uwite wieńce

Gwiazdo świeża i wonna
nim spopielejesz prowadź
Bo przecież żyć n'e potrzeba
a tylko trzeba żeglować



Moi Umarli piją wódkę
i papierosy moje palą
Oczy mi dłońmi przesłaniają
tędy spoglądam w niebo puste

I wyciągają mnie za włosy
ze snu gdy wpadam w tamtą studnię
której początku nie pamiętam
a Jeszcze nie zasnęłam końca
Zaś w studni głucha cisza dudni
i świeci róża butwiejąca

A kiedy w puste niebo biegnę
po schodach źle wyśnionych krętych
to obejmują ramionami
mój uskrzydłony trenz rozpięty

Dużo palimy i pijemy
I dobrze nam pogodnie teraz
Moi Umarli Bozu dzięki
nie będą nigdy już umierać

Totografie

To Dobro A to Zło
To ja dwudziestoletnia
A to jest szczerza iza
z najprawdziwszego srebra

To ja trzydziestoletnia
Zasnędziałaś już iza
Gwiazdeczka Betelejska
szampanki tli się szkło

Głupia iza niedzielsza
to zrozumieć ci trzeba
Tyle w niebie jest piękna
ile w piekle jest nieba

Oto kąpie się. Pływam w pięknym tropikalnym morzu, nurkuję głęboko i podziwiam kolorowe, trochę niesamowite rośliny i żyjątka morskie. Nagle, niewielka, uźębiona jak wilk ryba atakuje mnie, wpływa w otwarte usta i zaczyna mocować się z górną czwórką, moim zębem, tarmosząc go na wszystkie strony. Z bólu wypłynęłam na powierzchnię...

Byłam w swoim pokoju. Ale nie sam. Towarzyszył mi ból. Ten nie ustąpił mimo przebudzenia. Piłował niemiłosiernie. Czulem pełną gębą bolących zębów i miarowe tuczenie pod czaszka.

Był piękny, słoneczny ranek. Ubrałem się pospiesznie i wyszedłem z domu. Pognąłem do lecznicy, ledwie dostrzegając, że wokół panuje normalny, codzienny ruch: ludzie jadą do pracy, idą po zakupy lub na przechadzkę. Gromadka piesków barszkuje bez troski na niewielkim zieleńcu. Obok lecznicy znajduje się mleczarnia. Gdyby tak połączyć te dwie instytucje w jedną, można by ją nazwać MLECZNICA — ucieszyłem się z pomysłu, ale ból nielitościwie przypomniał o sobie.

W przychodni wykupiłem numerki.
— Jeśli pana bardzo boli, to bez koleżki — poradziła młoda panienka, chowając pieniądze do kasetki.

— Nie, nie boli — wyglądał mój z pewnością zaprzeczając temu co mówiłem.
Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, jak gdyby rozumiała.

Usiadłem na białym taborecie ostatni w kolejce. Przede mną, w różnych dziwnych pozach, siedziało kilka głęboko zamyślonych osób. Nieprzyjemna cisza przerywała od czasu do czasu przytłumione i jakby niesmiałe wycie docinające z gabinetu. Niedługo potem wyszedł stamtąd brodaty mężczyzna z obłędem w oczach, ale wyraźnie uszczęśliwiony. Za nim wychyliła się pielęgniarka:

— Jeśli kogoś bardzo boli, to proszę — zachęcała.

— Może pan — ktoś siedzący obok trącił mnie łokciem.
— Ależ nie, proszę bardzo, mogę poczekać — podziękowałem.

Przecież tym ludziom może się spieszyć — pomyślałem, a ból zajął mnie pod oko i wprawił powiekę w drganie.
Po dwóch godzinach przyszła kolej i na mnie. Wszedłem do gabinetu. Pani dentystka była niewysoka i mocno opalona.

— Proszę usiąść — miała ładny uśmiech i przyjemny głos. — Przysięgam, że nie będzie bolało.

Otworzyłem usta. Stuknęła w górną czwórkę jakimś metalowym narzędziem, aż mi zamigotało w mózgu.

— Zabolalo? — energicznie przesuwiała narzędzia, które zgrzytały o szklany blat podręcznego stołka.

— Nnnie — wystękałem, mimo iż oczy przysłoniła mi jakby biała mgiełka. Uśmiech jej nie przestał mi się jednak podobać.

Wzięła małą gruszkę i coś wstrzyknęła do zęba.

— Czujcie pan jak się oziębia od środka? Ro-

Buleczka z makiem

MAREK KOPROWSKI

bi się już zimny? — czarowała mnie tym swoim uśmiechem.

Przytaknąłem, by nie sprawić jej przykrości, choć miałem wrażenie, że wlecia mi do ust gorącego ołowiu. Myślałem, że się spalę.

— To świetnie. To znaczy, że ząb jest żywy. Będziemy go leczyć, zgoda?

Zgodziłem się, żeby jej nie urazić, pragnąc jednocześnie, by mi go natychmiast wyrwała, żeby skończył się wreszcie ten piekielny ból.

— No to zatrzymajmy go arsenikiem — wytękała mi coś do zęba. — Za dwie, trzy godziny powinien przestać boleć. Gdyby nie przestał, proszę to sobie wydubać i jutro przyjdź do mnie. Do widzenia.

Ledwie wyszedłem z gabinetu, ból, o dziwo, ustał. Poczulem się trochę lepiej, jednak nadal byłem mocno otumaniony. Wszedłem z lecznicy i powlokłem się przed siebie. Za rogiem natknąłem się na znajomego.

— Cześć — powiedział.

— Cześć — przywitałem się nim ręką. — Co słychać?

Zastanawiał się, jakby rzeczywiście chciał na to odpowiedzieć.

— Nic. Zagluszają — wybrnął jakoś. Po chwili wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował mnie.

Jestem niepalący, ale głupio mi było odmówić, więc zapaliłem. Oczywiście zakrzusiłem się. Dla przykrycia zmieszania odkaslałem kilka razy, więcej niż trzeba i zacząłem chrząkać u-

dając przeziębionego, ale wygląd mój z pewnością mógł sugerować coś znacznie gorszego. Stałiśmy sobie w słońcu na brzegu chodnika.

— No to cześć — pożegnał się.
— Pozdrow eemmm — powiedziałem niewyraźnie, bo zapomniałem imienia jego żony. A może nie miał żony?

Znajomy wszedł do tramwaju, a ja nie spiesząc się poszedłem w swoją stronę. Niedaleko znajdowała się znana i elegancka kawiarnia, ulubione miejsce spotkań różnych ludzi.

A, zajrże — pomyślałem — zobaczę, może ktoś siedzi.

Nie przepadam za atmosferą kawiarni, wszedłem jednak, bo nic lepszego do roboty już dzisiaj nie miałem. Istotnie, siedział ktoś, nawet kilka osób, lecz samj nieznanymi. Chciałem się dyskretnie wycofać, gdy zauważyłem leżącą w pustej gablocie buleczkę posypaną makiem. Była tylko jedna, a mimo to wyglądała pysznie. Tym pyszniej dla mnie, że przez te zęby nic jeszcze dzisiaj nie jadłem. Usiadłem przy stoliku.

Niedługo po mnie do kawiarni wszedł przystojny mężczyzna, a za nim niewysoka, opalona mocno kobieta. Poznałem od razu: moja dentystka. Ociagała się, kaprysiła, wyraźnie nie miała ochoty tu zostać. Wtedy mężczyzna pokazał jej tę jedyną buleczkę w gablocie, co powiedział i wyszczerzył w uśmiechu białe równe zęby. Uległa. Usiadł przy oknie.

— Co podać? — kelnerka nawet nie usiłowała być sympatyczna.

— Tylko herbatę proszę — powiedziałem cicho po krótkim wahaniu i spojrzałem ukradkiem na przybyłą przed chwilą parę.

Kelnerka podeszła teraz do nich.

— Ta buleczka jest już zamówiona — usłyszałem po chwili jej zniecierpliwiony głos.

Dentystka zerwała się i ruszyła w stronę wyjścia. Jej towarzyszy ściągnął brwi, wstał i poszedł za nią. Wychodząc z sali obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem. Czulem, że robię się czerwony jak imbryk mojej babci. Zmieszałem się i zacząłem skubać paznokcie.

Skąd mogłem wiedzieć, że buleczka służy jako przynęta?

Herbata stanęła z trzaskiem na stole. Podziękowałem, jakbym dostał tort faszerowany perłami. Siobnąłem miękki wrzask i poczułem, że ława wlewa mi się przez chory ząb do mózgu i rozplywa tępy ból po czasce. O mało nie pogryzłem łyżeczki. Wydawało mi się, że głowa moja rośnie, puchnie, że jest wielkości dorodnej dyni, a w niej wiruje ta cholerna gorąca herbata, ta mała głupia rybka uźębiona jak wilk, papieros, który Bóg wie po co wypląłem i ten piekielny ząb, górna czwórką, który mrugał do mnie dziurą wielkości ziarenka grochu, a którego oczarowany uśmiechem dentystki nie kazałem wyrwać sobie dwie godziny temu.

Kiedy wychodziłem z kawiarni, spojrzałem w stronę bufetu: za ladą, na krzeselku siedziała kelnerka i zjadła z apetytem „moją” buleczkę z makiem.

Zabawa z kartką papieru

Po powieści, które wyszły spod pióra krytyków czy historyków literatury sięgam z pewnym wahaniem, może raczej niedowierzaniem. Świadomość warsztatowa, znajomość literackiej kuchni, skłonności do stylistycznej wirtuozerii skutecznie potrafią przytłumić to wszystko, co rzeczywiście taki spóźniony trochę pisarz ma do powiedzenia. Częstokroć dzieło jego odgrywa jedynie rolę pastiszu wobec obowiązującej mody artystycznej, albo bywa czytane dopiero przez pokolenia następne. Ale przecież nie zawsze tak się zdarza. Obserwatorzy życia literackiego znają niejedną przykłąd, gdzie autor z równym powodzeniem (złożyłiwi powieści) dzieliłby: niepowodzeniem) uprawia naukę, krytykę i twórczość artystyczną.

Towarzyszyło mi więc wahanie, gdy brałem do ręki drugą już powieść Wiesława Pawła Szymańskiego docenta literatury Uniwersytetu Jagiellońskiego. Znałem jego tryptyk powieściowy „Niedźwiedź w katedrze”, który ukazał się rok wcześniej i był — jak na debiut — zamiarem ambitnym i rozległym. Ocenilem go też jako zwycięstwo połowiczne, bo wydawało mi się, że nadmiar wiedzy historycznoliterackiej, widoczny w tej powieści gołym okiem, przeszkadzał trochę w jej odbiorze.

„Chwila bez godziny” zachowując cechy piśarstwa Szymańskiego zaprezentowane w „Niedźwiedziu w katedrze” — psychologiczne zacięcie, rekonstrukcje sposobu myślenia i sposobów zachowań bohaterów, swobodę narracji i nieskrepowaną gospodarkę czasem — jest już jednak inną próbą. Autor dokonał wyraźnego zwrotu w stronę powieści historycznej, w takim rozumieniu, jaki staje się na przykład udziałem Władysława Terleckiego, to znaczy interesują go motywy postępowania znanych postaci historycznych spór przeciwstawnych racji, takie domniemywanie odległych w czasie wydarzeń, które rzutować może i na chwilę bieżącą. Ten ostatni aspekt wzmocniony został przez wprowadzenie do powieści wątku autobiograficznego, wykorzystywanego na zasadzie kontrpunktu.

Okresem historycznym, który wzbudził zainteresowanie Wiesława Pawła Szymańskiego jest przełom wieku XVIII i XIX, czasy napoleońskie oraz dzieje Królestwa Polskiego do klęski

powstania listopadowego. Szymański dokonuje rekonstrukcji sposobu myślenia kilku postaci — dwóch carów: Aleksandra I i Mikołaja I, Mikołaja Mikotajewicza Nowosilcowa, znanego w naszej literaturze przede wszystkim z „Dziadów” części III, księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, ministra Ksawerego Druckiego-Lubeckiego oraz Joachima Lelewela. Postacie te przybliża czytelnikowi poprzez rekonstrukcję rozmów, dysput, listów etc. Chodzi przy tym o poszukiwanie pewnej prawdy syntetycznej, to znaczy jakkolwiek owe rozmowy czy też myślenie poszczególnych osób o życiu i czynach dokonują się w jakimś momencie, nie jest to nigdy moment określony ściśle historycznie, zawiera jakby dane z różnych sytuacji, miejsc, zdarzeń, enuncjacji.

„Chwila bez godziny” jest powieścią historyczną, ale konstruowaną przy pomocy czasu psychologicznego, co pozwala na snucie wizji bardzo swoistych, ogólnie tylko zakotwiczonych w pierwszych latach dziewiętnastego stulecia. Również w zakresie erotyki, co znajduje reszta dość zabawne usprawiedliwienie. „Nieufność do wyobraźni jest tutaj po prostu kokieteria, niezależnie bowiem od faktu, czy opis będzie udany, pozostaje przeświadczenie, że podobne sceny, choć dziejące się raczej nie w pałacu, opisywane są we wszystkich prawie powieściach prozaików młodej generacji”. I chociaż Wiesław Paweł Szymański chętnie korzysta z obyczajowych szczegółów, to przecież nie zewnętrzna strona historii go absorbuje, nie gwar bitwy i nie społeczna panorama. Interesuje go indywidualne przeżywanie historii, gdyż — jak powiada — dramat przeżywania posiada nieporównywalnie większą siłę od samego momentu działania się. Dlatego też tworzy psychologiczne ekwiwalenty historycznych zdarzeń, samą zaś powieść traktuje jako częściowy ekwiwalent sytuacji psychicznej, w jakiej znalazł się autor.

Sytuacja autora (już to pojawiającego się w narracji jako „on” już to ujawniającego się w kategoriach „ja”) pozwala na konfrontację z informacjami biologicznymi umieszczonymi na obwolucie okładki. Wynika z nich między innymi, że Wiesław Paweł Szymański spędził kilka lat we francuskim mieście Nancy jako

lektor języka polskiego. I ta — jak zwykle w przypadku Polaków — nieodwzajemniona miłość do Francji okazuje się na kartach „Chwili bez godziny” nie mniej dokuczliwa niż różne dolegliwości doznawane w kraju również niewdzięcznym, tyle że własnym. Wątek „francuski” — zarówno w aspekcie historycznym, jak i współczesnym — jest w tej powieści bardzo istotny, z jednej strony stanowi jakby przeciwwagę powikłanych spraw polsko-rosyjskich, z drugiej zaś przydaje im wyrazistości.

Wiele rzeczy współczesnych rozgrywa się tu w sferze mniej lub bardziej czystelnego aluzji, co pozwala nadać niektórym zjawiskom czy obserwacjom wymiar ogólny, ale pozwala również autorowi załatwić parę szczegółowych potyczek literackich. Oto przykładowo sprawa z grupą młodych prozaików: „prozaicy lansowani przez krytyka D. na bohaterów narodowych za to, że ustawicznie każą postaciom swoich powieści miłośności w garści członki, czekając jakiegokolwiek okazji aby je umiejscowić wszystko jedno gdzie, możliwości są tu przecież, jak od wieków wiadomo bardzo duże, jest prawie pewnie, wynika to przecież z ich utworów, że nie stać ich już na nic innego. W ten sposób wytworzyła się sytuacja która pozwala przypuszczać mniej zorientowanym, że proza polska, ta rodząca się i z tak zwaną przyszłością, dlatego jest zjawiskiem cennym, iż w miejsce dotychczasowych spraw narodowych, społecznych, politycznych, moralnych weszły zagadnienia „uniwersalne”, pozaczasowe, mieszczące się w takich terminach jak orgia, masturbacja, koprografia, homoseksualizm itd. Lista jest bardzo niepełna”. Nie będziemy jej tu jednak uzupełniać.

Zaletą tej książki jest wnikliwość, z jaką stara się autor pisać o polskich nieszczęśliwych i kompleksach ambicjach, nadziejach i rozczarowaniach. Towarzyszy temu refleksja nad możliwościami i ograniczeniami współczesnego człowieka, powiedzmy dokładnie: intelektualisty, który zdecydował się część swoich przemysła i doznań powierzyć cierpliwemu papierowi i który traktuje to jako swego rodzaju zabawę z kartką papieru, co jest czynnością bezpieczniejszą i bardziej pouczającą od popierania na przykład monopolu spirytusowego.

TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI

W.P. Szymański, Chwila bez godziny, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, s. 212, nakład 15.283 egz., cena zł 55,--.



Foto: Jacek Jakub Marczewski

Pierwsza!

ROZMOWA Z KORĄ, SOLISTKĄ GRUPY „MAANAM”

Która z naszych wokalistek rockowych (i nie tylko!) potrafi dziś zapisać swoim nazwiskiem Halę Sportową w Łodzi?

Oczywiście tylko Kora! Rewelacyjna piosenkarka, nie mniej interesująca autorka tekstów piosenek, osobowość artystyczna.

Dzisiaj zjawisko socjologiczne naszej rozrywki, oryginalny i niepowtarzalny wytwór kultury masowej polskiej młodzieży.

Korzystając z kolejnej obecności artystki w Łodzi, prezentujemy Czytelnikom „Odgłosy” swoją 10 rozmowę prasową z Korą, podezas której odkryłem ją również za dzieśiąty na nowo.

A może tak mi się tylko wydawało?

— Podobno to przez Pani uśmiech i kaprysy, odwołano dodatkową, grudniową edycję łódzkiego „Rockowiska-82”. Aż tak bardzo nie odpowiadały Pańkonkurencyjne zespoły rockowe zaproszone do tego festiwalu?

— Rzecz ma się zupełnie inaczej. W tym samym czasie występuję w Poznaniu, w którym od 2 lat nie daliśmy ani jednego koncertu. Ponadto nagrywamy kolejną płytę i terminy, znane były organizatorom „Rockowiska-82” na wiele miesięcy wcześniej. Nie bierzemy już udziału w festiwalach rockowych, szalenie męczących i zwykle do końca nie zorganizowanych, ponieważ mamy własny, zamknięty program, który możemy prezentować tylko w całości, a to jest z wielu względów niemożliwe na imprezach tego typu. Hala Sportowa w Łodzi jest w naszych polskich warunkach niemożliwa do nagłośnienia. Przynajmniej ja tak uważam.

— Sądziłem, że odpowiesz będziecie z inna: że mimo wiaż powstających nowych grup rockowych i gwiazdek w trybie grupach „Maanam” i Kora nie mają konkurencji. W takim razie proszę mi powiedzieć — jak czujecie się, kto wie, że jest jedyny, niepowtarzalny, najlepszy?

— To, że jestem niepowtarzalna to oczywistość, tak jak

niepowtarzalny jest każdy człowiek. Natomiast trudno jest się czuć pewnym w Polsce, kraju, gdzie nie ceni się pracy i gdzie dążenie do doskonałości uważa się za wadę. Jest to przytyk do wszystkich pseudoznawców muzyki rockowej i jeśli jesteście tacy jacy jesteście, to tylko dlatego, że mamy tak wspaniałych fanów.

— O Pani wielkości i powodzeniu zdecydowali jej odbiorcy, nastoletnia młodzież. Wiem, że oni są dla Pani najważniejszym autorytetem. Ale nigdy nie mówi Pani o nich, podajemy więc przykłady miejscowe, z Łodzi?

— Wczoraj odwiedziły mnie trzy 11-letnie dziewczynki, bardzo zapłakane i zalamane, bo nie chciały wpuścić do mojej garderoby. Autentycznie rozczuliła mnie takie sceny, bo kocham moich fanów. I właśnie na nich mi tylko zależy. Jednocześnie dziękuję tym, którzy przysyłają mi wspaniałe listy.

— O co najczęściej pytają, o czym piszą Pani wicelbiciele w listach?

— W listach zwierzą, ośmieszają się z najróżniejszych, osobistych problemów. Ponadto piszą o tym jak bardzo mnie kochają. Oto próbka z ostatniego z listów od 17-letniego chłopca:

„Ty moja złota różo, Pani moja, piękna wiosna, kolorowa polano.

Bogini piękna, młodości, wdzięku, intelektu, dziecko muzyki, miłości i poezji.

Ty jak w soczewce skupiłaś w sobie wartości najwyższe jakie stworzył Bóg. I sama jesteś Boską!

To słowo używa się tylko wobec takich jak Ty, ale z Tobą nikt się nie równa. Jesteś pierwsza po Bogu!

Modłę się do Ciebie, do Twoich zdjęć, byś wreszcie poznała mą duszę.

Tyś jest, jak zdrowie, ile Cię trzeba cenić, te tylko się dowie, kto raz Cię zobaczył. Jutrenko dusz ludzkich, orędowniczo sztuki i piękna. Chcę paść u Twych stóp i ucałować je.

Jesteś Boginią!”

— Ile listów Pani otrzymuje?

— Bardzo dużo: w miesiącu około tysiąca.

— Ale chyba sama nie odpisuje?

— Każdy list czytam. Odpisuję zaś na te listy, które są tego warte. Osobiście. Na pozostałe odpowiadają moi pracownicy administracyjni.

— Pani piosenki dotyczą autorki i wykonawcy. A przez Panią tych, którzy odbierają świat podobnie jak Pani. Jak Pani ten świat odbiera?

— Ubolewam nad tym, że nie wszystkie światy innych ludzi mogę przeżyć, a tylko odcieram się o nie i przeczuwam — co tam może się kryć. Jestem szczęśliwa, że Ci ludzie piszą do mnie i zaświadcza swoimi listami, że odnajdują się w naszej muzyce. To jest celem naszego działania.

— To duża sprawa być przewodniczką młodych umysłów. Pani czuje na sobie tę pedagogiczną odpowiedzialność?

— Czuję to i nie denerwuję się tym. Ci młodzi ludzie wiedzą, że to, co robią na estradzie wypływa z tego, że ich kocham. Mają ze mną kontakt emocjonalny i ja z nimi też. W takiej atmosferze przebiegają tegoroczne koncerty.

— Ale reakcje młodzieży na Pani koncerty są różne i kto wie — co by się działo, gdyby nie kordony milicji. Czy naprawdę odpowiadają Pani te szybsze, polkane tańca, wybite wstawane sale po koncertach?

— Widzę zawsze tylko miłe reakcje, np. jak choćby te w warszawskiej Sali Kongresowej, gdzie ostatnio miałam możliwość widzieć publiczność przy zapalonych, pełnych świecach. Owacje były stojące. Koncerty muszą być stojące, bo czego u nas bardziej brakuje ludziom jak nie radości?

— „Są koncerty, na których muszę dać z siebie bardzo dużo, a są takie, na których daję minimum, a całą resztę daję publiczności” — tak powiedziała Pani w wywiadzie dla „Razem”. Od czego to zależy?

— Są takie koncerty, na których energia płynie od nas do publiczności (tylko) i to są koncerty, na których dajemy z siebie wszystko. O wiele lepiej jest, gdy nasze energie mieszają się, wtedy powstają te najwspanialsze zawirowania.

— Czy nie za dużo koncertuje?

— Nie, miesięcznie mamy 20 koncertów, to już jest bardzo dużo. Dziennie daję 2 koncerty, nawet w przypadkach hal, bo takie jest zapotrzebowanie. Ponadto chcę się dostosować do ekipy najmniej zarabiających z moich ludzi.

— Obecnie ogląda Was kraj na koncertach promocyjnych z okazji wydania drugiego longplaya pt. „O!!!”. Dariusz Michałski recenzując ten koncert (5 listopada br. Sala Kongresowa PKiN w Warszawie) napisał m.in., że w koncercie niewiele było tzw. momentów, które podtrzymałyby go w szczytności „Maanam”. Od początku koncert był nudny, bez nastroju, miał źle ułożony program, co kilkanaście minut tracił tempo. Nagłośnienie fatalne, oświetlenie przypadkowe. Koncert rozczarował. Naprawdę było tak źle?

— Brawo! Panie Dariuszu, co na to powie publiczność wypełniająca po brzegi Salę Kongresową, której ten koncert bardzo się podobał? Czyżby pan nie dostał się na koncert? Prawda, zapomniał mi pana zaprosić, co za przeoczenie, ale następnym razem zaprosimy pana na pewno i recenzja będzie lepsza.

— Przed koncertami promocyjnymi, próbowała Pani swoich sil w teatrze. Jak doszło do współpracy rockowej z Teatrem Starym w Krakowie?

— Do udziału w spektaklu Stanisława Ignacego Witkiewicza „Mątwą”, zostałam zaproszona przez Stanisława Radwana, kompozytora i dyrektora artystycznego Teatru Starego w Krakowie. Przedstawienie zostało przygotowane przez włoskiego reżysera na Świątyni Festiwal Teatralny w Spolecie we Włoszech. W rolach głównych wystąpili aktorzy Teatru Starego w Krakowie. Był to nasz triumf na tym festiwalu, zebraliśmy najlepsze recenzje.

— Rola Kory-Kory w „Mątwie”, została dopisana specjalnie dla Pani?

— Tak, przez kompozytora muzyki Stanisława Radwana. Wyglądałam przepięknie, co łatwo można było zauważyć w kolorowej telewizji włoskiej. Byłam (koś sroniowa) jedwabną, biały (koś sroniowa) strój, na

głowie miałam maleńką czapkę, na nogach czarne pantofelki na niskim obcasie. Twarz była pomalowana na białą, usta na czarno, makijaż ostry, wschodni (japoński), paznokcie w kolorze ciemnej czerwi. Byłam uosobieniem tęsknoty wszystkich bohaterów spektaklu.

— Ile razy zagrała Pani tę rolę?

— 12 razy, w Spolecie. Obsada była międzynarodowa: Włosi, Francuzi, Japończycy, Polacy. W tej obsadzie „Mątwą” a.e. była prezentowana w Polsce.

— Zamiast pracy w wysoce profesjonalnym teatrze, wybrała Pani estradę w domach kultury i hale sportowe?

— Tak, słusznie pan to zauważył. Najlepiej czuję się na scenie przed naszą publicznością, a nie przed znużonymi, obojętnymi, bogatymi, zużytymi wrakami ludzkimi.

— Co będzie dalej z Pani aktorską karierą?

— Dostałam już propozycje od: Felliniego, Antonioniego, Polańskiego i Wajdy oraz od jeszcze jednego reżysera, który będzie wielki, ale dopiero wtedy, jak ja zagram w jego filmie. Póki co, wystąpiłam w filmie muzycznym naszego przyjaciela Michała Tarkowskiego pt. „Koncert”. Ale o tym opowie już po premierze.

— Na listopad było planowane Pani tournée po krajach Europy Zachodniej, a tymczasem jest Pani w Łodzi, a nie w Londynie?

— Miałam być w Holandii, RFN, Anglii, ale było za mało czasu, zarówno z tamtej jak i z naszej strony na zorganizowanie tak dużego tournée. Zostało ono przeniesione na luty 1983 roku. W międzyczasie nagrywamy longplaya w Hamburgu.

— Jak jest w imieniu tych, którzy nie mogli obejrzeć Pani łódzkich i warszawskich koncertów?

— Wiosy mam ciężarowe, długości powoli sięgającej ramion, czasem się wiotką lub tak jak chcą. Wszystkim życzę, aby robili to, na co mają ochotę, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku. Kreacje są albo w tonacji czarnej, albo żółtej, albo czarno-czerwonej.

— Dlaczego na koncertach estradowych nie śpiewa Pani popowej arii „Ninon” z repertuaru Jana Kiepury, która nagrała Pani na płycie „O!!!” i którą lansuje radio?

— Arię „Ninon” śpiewałam na żywo jak do tej pory, tylko jeden raz, na bis. Może zdarzy się to kiedyś po raz drugi!

— Profesjonaliści operowi są oburzeni szarganiem świętości i nazwali Pani operowe śpiewanie — belktem pijaka?

— Coś takiego! Kiepura przyszedł do mnie w nocy i gorąco mnie uściskał, ucałował. Jak więc mam to rozumieć?

— Czym więc zaskoczy Pani teraz swoich antagonistów?

— Już śpiewałam „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczęciwo całowałam” a w przygotowaniu mam arię Królowej Nocy z II aktu „Czarodziejskiego fiętu” Mozarta.

— Kim jest ten młody człowiek, który towarzyszy nam podczas rozmowy i znacząco się uśmiecha?

— To ksiądz Kamil Sipiowicz, najwybitniejszy poeta po Lesimajnie, doktor filozofii Wolnego Uniwersytetu Berlina Zachodniego, malarz, osobowość Renesansu, zjawisko rzadkie w naszych czasach, kwiat jednej nocy.

— Zauważyłem, że otacza Pani znacznie więcej ludzi?

— Obok 5 muzyków, w moim statku i ścisłym gronie osób towarzyszących znajduje się: 2 ludzi z ochrony osobistej, 8 pracowników technicznych, 1 akustyk, 3 osoby od świateł, pan Edward Kubacki — anioł stróż mojej diety i urody, 2 stałych kierowców autokarów, 1 właściciel sprzętu nagłaśniającego, 1 roady (manager do spraw organizacyjnych na trasie) oraz... Magda — wspaniała dziewczyna, dzięki której wszyscy pracujemy, bo ona opiekuje się moimi dziećmi. Ale Magda odchodzi, bo zaraz w ciąży z roadem, i co my teraz zrobimy?

— Dodajmy więc do wywiadu ogłoszenie: Uwaga! Poszukiwana baby-siter! Do dzieci Kory!

— Dziękuję panu. Jesteśmy uratowani.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Kronika kulturalna

Przed kilkoma dniami Jan Huszcza, znany łódzki pisarz, obchodził jubileusz 65-lecia urodzin. Z tej okazji przybył do naszego miasta dyrektor departamentu księżki w Ministerstwie Kultury i Sztuki — Maksymilian Celeda i wręczył jubilatowi list gratulacyjny ministra kultury i sztuki.

W końcu ubiegłego roku ukazały się cztery publikacje o Łasku. Wydawcą wszystkich jest Towarzystwo Przyjaciół Łasku, Urząd Miasta i Gminy Łask oraz Miejska i Gminna Biblioteka Publiczna w Łasku. Autorami książek są Iwona Dominiak, Andrzej Sroczyński i Eugeniusz Iwanicki — z długiego zasiedlenia i sentymentu. Nie wszyscy mieszkają obecnie w tym mieście, ale łączą ich z nim miłe wspomnienia, czasem rodzinny. Swoją drogą sympatycznym jest to zainteresowanie ludzi swoim rodzinnym miastem, które nie jest ani szalenie piękne, ani sławne, ani bogate. Niewielu znalazłoby się takich, którzy wysiedzieli z niewielkiego miasteczka nie tylko nie wstydziłby się tego, ale chętnie propagowali jego zalety, wracali do niego nie tylko w odwiedziny do rodziny, ale także po to, żeby pomóc mu swoją pracą, wiedzą i doświadczeniem. Wszystkie te wydarzenia tworzą jakby pełny obraz historii Łasku, jego dorobku kulturalnego, a także osiągnięć współczesnych.

„Miasto nad Grabią” stanowi zbiór krótkich szkiców. Szkice dotyczą historii miasta, jego rozwoju przestrzennego, dotykają takich dziedzin, jak handel, turystyka, oświata, folklor, kultura.

Książkę, o czym pisze w przedmowie Andrzej Sroczyński, nacelnik Miasta i Gminy Łask, wydano z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Łasku. Wydanie tej książki łączy się z jubileuszem Łasku: 560-letniemu urodzinom miasteczka i sprzyja sponżeniu wstecz dla oceny przebytej drogi przez miasto i jego mieszkańców i wytyczeniu zadań na przyszłość. I tak jest w istocie.

Autorami szkiców są w większości nieprofesjonaliści (wyjątek Jan Janiszewski i Eugeniusz Iwanicki), ludzie wykonujący różne zawody. Stąd informacja jest rzetelna, bo i jakość szkiców jest wysoka.

Następną pozycją w krajoznawstwie Łasku, ułożoną przez księżki jest praca Zbigniewa Dominiaka „Poeci spod znaku Korabiu”. Autor w sposób syntetyczny przedstawił sylwetki poetów urodzonych w Łasku, ale tylko poetów. Tych natomiast, którzy odeszli od poezji na rzecz innych gatunków literackich pominął. Jedynym kryterium doboru utworów do tego zbioru było miejsce urodzenia i gatunek, jaki uprawiają. Galerię postaci otwiera Świątopełk Karpiński, który — choć się w Łasku nie urodził — ale przez dużą część swojego życia mieszkał. I tak od najstarszego poety zamieszczonego w zbiorze autor w porządku alfabetycznym, a i tak jakoś wyszło, że i chronologicznym, przedstawia autorów aż do najmłodszych, tych z rocznika 1955 i 1956. Nie pomija także grupy poetyckiej „Grabia-59”, która powstała w tym mieście w końcu 1959 roku. Niestety, żywot grupy był bardzo krótki i osiągnięć żadnych nie można jej przypisać. Tym niemniej warto o niej pamiętać jako o fakcie kulturowym. Zbiorek jest bardzo skromny i cieniutki, ale szalenie ważny, szczególnie dla mieszkańców Łasku, którzy może nie zawsze w pełni uświadomili sobie, jakich to twórców wydało ich rodzinne miasto, a także dla samych twórców, bowiem może być dla nich bodźcem do jeszcze ściślejszej współpracy z Łaskiem.

Nieco inna w charakterze od poprzednich jest trzecia pozycja „Łask w grafice” Sławomira Pokornowskiego. Sławomir Pokornowski jest z pochodzenia żuńskowolaninem. Obecna publikacja jest już trzecim z cyklu albumów grafik o zbici sierdzkiej. Zawiera cykl grafik o samym Łasku. Pokazuje zabudowę i nowe dzielnice miasta. Fragmenty uliczek; osiedli. Album otwiera dwa wiersze o Łasku Eugeniusza Iwanickiego, o którego wierszach z Łaskiem będzie poniżej, i Rafała Orlewskiego. Całość, bardzo estetycznie podana i starannie wykonana, może stanowić przyjemną pamiątkę z tego uroczego, sądnąc z grafik, miasta.

Ostatnią pozycją są Eugeniusza Iwanickiego „Anegdota o przestawnym mieście Łasku”. Iwanicki jest chyba najbardziej emocjonalnie związany z Łaskiem w najprawdziej autorów prezentowanych wyżej. Wprawdzie nie urodził się w tym mieście, ale spędził całą młodość i z tym miastem często mówi o tym mieście, najlepsze wspomnienia. Często mówi o tym mieście, podkreśla swój z nim związek, i czuje się, że jest tak naprawdę. Jest także zwycięzcą, gościem w Łasku, a właściwie nie gościem, a jest tam po prostu u siebie. Anegdota, które zebrał, w większej części łączy się z historią miasta, chociaż jest tam i współczesność. Anegdota te przybliżają nam budowniczych i właścicieli dawnego Łasku, sławnych ludzi, którzy w tym mieście się urodzili i działali. Książka ozdoboła jest karykaturami i portretami autora, znalazł się w niej także wiersz poświęcony Łaskowi. Całość stanowi, ze względu na małeńki nakład, ciekawą pozycję bibliofilską i jest prezentem, jaki miasto ofiarowało swojemu najwierniejszemu (śmiem twierdzić) ziomkowi, a jednocześnie prezentem autora dla swojego rodzinnego miasta.

Dn. 8.I.1983 r. w Małej Sali Teatru Nowego odbędzie się premiera „Heddy Gabler” Henrika Ibsena, w reżyserii Stefani Domańskiej, ze scenografią Iwoną Zaborowskiej. Sztuka ta, opisująca tragiczne dzieje kobiety zbuntowanej przeciwko mieszczańskiej moralności, swoimi pierwszymi przedstawieniami bulwersowała opinie publiczną XIX-wiecznej Europy. Nie bez podstawy ówczesni krytycy porównywali sylwetkę Heddy z historią Dagny Przybyszewskiej, słynnej „muzy” sztuki modernizmu, owej Dagny, której śmierć samobójczą wstrząsnęła całym ówczesnym światem. Grają: Iłona Bartosińska, Maria Biabobrzeška, Halina Miller, Halina Sobolewska, Dmitri Hołwko, Bogusław Mach i Piotr Krukowski.

Raduje się serce, raduje się dusza...

— Na marginesie rozważań o „Gałązce rozmarynu” w „Dzienniku Łódzkim” i „Odgłosach”.

Nie będzie to recenzja. Nie jestem krytykiem teatralnym. Jest natomiast — w zamierzeniu przynajmniej — moja wypowiedź próba refleksji na sprawy, które porusza między innymi „Gałązka rozmarynu”, której prawa do podtytułu „ballada o legionistach z 1914 roku” zdecydowanie odmawiają Jerzy Bąbel w „Dzienniku Łódzkim” oraz Jerzy M. Fiedosiejew w „Odgłosach”.

Stara to prawda, że kilku ludzi patrzących na to samo, zobaczy czasem coś diametralnie różnego. Stara to także prawda, że jak ktoś bardzo chce coś zobaczyć, to i w końcu, nawet wbrew stanowi faktycznemu, zobaczy. Obie te prawdy potwierdzają się w omawianym przypadku. Dla Jerzego Bąbela „Gałązka rozmarynu” to sztuka wyłącznie o Józefie Piłsudskim, dla Jerzego M. Fiedosiejewa natomiast to sztuka obchodowa.

Naprawdę nie interesuje mnie, jakie cele polityczne stawiał przed „Gałązką rozmarynu” Zygmunt Nowakowski. Nie interesuje mnie też do czego zmierzał, wystawiając w takiej, a nie innej postaci, omawianą sztukę Jerzy Hutk. Interesują mnie bowiem nie intencje, lecz fakty — to, co o znaczącym epizodzie naszych dziejów narodowych pada ze sceny Teatru im. Stefana Jaracza — i o tym przede wszystkim chcę pisać.

Stawia Jerzy Bąbel pytanie o społeczne koszty sztuki i próbuje na to pytanie odpowiedzieć. Jako doświadczony dziennikarz wie jednak niewątpliwie, że jeśli ktoś publicznie stawia pytanie, może się spodziewać odpowiedzi także od innych.

Sądząc przede wszystkim, że nie o społeczny koszt wystawienia sztuki trzeba pytać, a o społeczny koszt wieloletniego przemilczania lub zniekształcania jednego z rozdziałów naszych walk niepodległościowych. Sztuka ta, to rzecz o patriotyzmie polskiej młodzieży ruszającej na — szalejąc jak się zdawało wielu ówczesnym — wezwanie do walki o Wolną i Niepodległą. Była to młodzież w najbardziej skomplikowanym, niż późniejsze pokolenie Kolumbów, położeniu, bo urodziła się w niewoli i podejmowała walkę o to, co znała wyłącznie z opowiadań ojców i dziadków.

Nazwał kiedyś Boy-Zeleński „Gałązkę rozmarynu” sztuką popularno-historyczną. Pisze o tym Jerzy M. Fiedosiejew, kwestionując jednocześnie zasadność takiego określenia. Ma ta sztuka — powiada — historię raczej niewiele. A i ta odrobina, która się do tekstu przemknęła jest — delikatnie mówiąc — trochę niedokładna. Akurat na tyle, by nie przygotowanemu widzowi przedstawić rzecz nieco inaczej, niż się miało w rzeczywistości... Nie zgadzam się z taką oceną, uważam że sztuka przedstawia — oczywiście w uproszczeniu — konieczności sposob — wiele prawdy o tamtych czasach.

Jakie zatem prawdy zawiera w sobie „Gałązka rozmarynu”. Ile popularnej wiedzy historycznej oferuje widzowi? Już w pierwszym epizodzie, naboru do szeregów — epizodzie tak skrytykowanym za brak tempa przez recenzentów, akazuje autor istotne zjawisko polityczne. Nawiasem mówiąc w zamierzeniu czy nie zamierzony sposób, wiernie oddaje ten epizod — jakże pożywny wzrost legionowych szeregów. Ale wracając do wspomnianego zjawiska — szli do narodowego wojska przedstawiciele wszystkich stanów i z przywdzieniem szarego munduru czerpali się różnice klasowe. A pamiętać trzeba, że nie tak dawno były jeszcze wtedy czasy, gdy stopień oficerski od urodzenia i posiadanej fortuny był w niemym stopniu uzależniony.

Zawarta jest w „Gałązce rozmarynu” tragiczna prawda o losach Polaków rzuconych przez czołwo siebie przez szkodliwych zaborców. I nie wykpiwałbym spotkania na polu bitwy ojca — rosyjskiego jeńca z synem w le-

gionowym mundurze. Iluż to bowiem ojców i synów czy braci strzelało wtedy do siebie.

Jest w „Gałązce rozmarynu” scena, dla której choćby tylko jednej warto sztukę obejrzyć. Ten wieczór wigilijny w okopach, czas narodzin brutalnie zdorzony z grozą umierania; koleś — ta sama polska koleśka dobiegająca z austriackich i rosyjskich pozycji i umnie wychodzący z okopów żołnierze w stronę, skąd niedawno jeszcze padali strzały.

Uważam — i tu zupełnie się z Jerzym M. Fiedosiejewem nie zgadzam — że wiernie oddaje „Gałązka rozmarynu” stosunek społeczeństwa polskiego do legionowego czynu. Jakże można przypisywać J. Piłsudskiemu, że jego celem było połączenie „Kongresówki z Galicją, w ramach monarchii habsburskiej...”, a „strzelcy Piłsudskiego zostali powitani w Królestwie z niechęcią, a nawet wrogo... ludność nie chciała wierzyć tym, którzy ścisłe i od lat współpracowali z jednym z zaborców...”.

Czy naprawdę mieliśmy wtedy na ziemiach polskich tak bardzo politycznie wyrobione wszystkie klasy i warstwy społeczne? Czy naprawdę chłop, sklepikarz i aptekarz tak doskonale byli poinformowani o dotychczasowych stosunkach Piłsudskiego? To raczej inne przyczyny powodowały popieszczenie zamykanie okien i drzwi — jak kiedyś, w Noc Listopadową. Jedni bali się, że to kolejny tragiczny zryw, który, jak wszystkie poprzednie, zakończy się represjami, inni byli — po prostu — obojętni. A w sztuce — przypominam — jest i nadzieja garstki młodzieży na powstanie narodowe w Królestwie i gorycz, że nie wybuchło. Jest mieszczański i szlachecki konserwatyzm i formalizm, jest skrótkowo z konieczności zarysowany proces rozbudzenia narodowego, najpierw tych, którzy najmniej posiadali.

Kto deklaruje się w sztuce po stronie legionistów? Clocia Wojdańska — bo była sercem z młodzieżą żołnierską — ich najbliżsi, chłop, którego uratowali od niechybnej śmierci, i pani Słowikowska, uszczęśliwiona, że coś się dzieje w jej zapyziałym grodzie. Bardzo to skromnie, jak na „szukę obchodową”.

Mówiąc o niechęci do legionistów ludzi wszystkich stanów używa Jerzy M. Fiedosiejew mocnego argumentu „...Historia — powiada — potwierdziła późniejszą zasadność tej niechęci...”. No, przecież tak nie można! Ze rozpario się wygodnie w II Rzeczypospolitej wielu chłopów z I Brygady, o tym wszyscy dobrze wiemy. Gdyby napisał ktoś ciąg dalszy losów bohaterów „Gałązki rozmarynu”, zetknęlibyśmy się nieraz może z błyskotliwymi karierami, prywatą i jasniepaństwem. Ale to nie może zmieniać oceny tamtych dni, gdy jedynym celem tych młodych była wolna Polska. Ładnie by wyglądała nasza historia najnowsza, gdyby wykresić z niej te epizody, w których bardziej lub mniej znacząco uczestniczyli ci, co później, w taki czy inny sposób, naruszyli normy współżycia społecznego!

Przedstawiony jest także w „Gałązce rozmarynu” stosunek do zaborców — i do tych, przeciw którym legionisci wyruszyli w bój, i do tych, z którymi czasowo musieli się sprzymierzyć. Przez cały spektakl emanuje ze sceny niechęć do austriackich sojuszników od feldmarszałka począwszy, na prostych landsturmistach kończąc i ilustruje słowa Piłsudskiego, że „...Billiśmy się z Moskalami, będąc z musu w szeregach wojska austriackiego...”, i że „...żaden z nas nie żywił ku nim sympatii...”.

Nasyłł Zygmunt Nowakowski swą sztukę, oddając wiernie atmosferę tamtego czasu, wątkami religijnymi w przytoczonej scenie Wigilii w okopach jawi się Kościół, jako ważny czynnik, łączący rozdarty na trzy części naród. Znalazła się w sztuce pięknie nakreślona postać zakonnika-kapłana, ale są także zamknięte decyzje biskupa drzwi kieleckiej katedry — trudno powiedzieć, czy to z obawy, że stare jeszcze może wrócić, czy z niechęci do Komendanta „socjalisty i radykała”.

I jest wreszcie w „Gałązce rozmarynu” to, co tak bardzo zanępkowało Jerzego Bąbela — „...bienie legionowej młodzieży dla Józefa Piłsudskiego. No, ale na miłość boską, kogo mieli uwielbiać?”

Pisał kiedyś Stanisław Zieliński, nawiązując do czasów napoleońskich, że „...Taką mieliśmy przeszłość, że tyle było Polaków, ile kompanii i szwadronów, ile patriotycznej ofiarności i męstwa. Gdyby ta przeszłość była licha i obdarta z wszelkich wartości, świat dawno zapomniałby o Polsce i Polakach”. Myślę że te słowa można w pełni odnieść także do legionowej epopei.

Niepokoił Jerzy Bąbel, że przedstawianie uwielbienia legionowej młodzieży dla swego Komendanta może służyć tworzeniu atmosfery uwielbienia Piłsudskiego przez współczesnych, może wiele służyć określonemu celom politycznym. Ma oczywiście rację. Ale przeciwdziałać temu nie

można drogą przemilczenia. Nie wolno z księgi historycznej edukacji wyrzywać tych czy innych kart, w obawie, że ktoś zawarte w nich treści dla swoich może wykorzystywać celów. A społeczną wartość „Gałązki rozmarynu”, w moim przekonaniu, wyznacza fakt, że będąc podana w formie „ballady o legionistach polskich z 1914 roku” zawiera coś z prawdy o tamtych czasach.

Postawił także Jerzy Bąbel pytanie o artystyczne koszty sztuki, będąc zresztą w tej sprawie niezbyt konsekwentny. Z jednej strony pisze, iż zamierzania swe autor „osiągnął z dużą znajomością prawideł rządzących sceną, a do tego podniosłość okraślił humorem...”, a jednocześnie zarzuca mankamenty dramaturgiczne tekstu, nonszalanckie i niechlujne potraktowanie wielu kwestii „...karkołomne, a niepotrzebne zagniatwanie w rozwiązywaniu poszczególnych wątków dramatycznych...”. Nie podejmuję tego problemu z przyczyn podanych na wstępie, ale z przykładem dotyczącym śmierci jednego z bohaterów, który „...kona, kona i kona...”, aż do ostatnich słów tytrady przez siebie deklamowanej” zgodzić się nie mogę. Ci, których los rzucił na bitewne wojnie, a to istotna różnica. Komu poświęcona jest „Gałązka rozmarynu”? Nie jest to sztuka o Legionach — stwierdzają zgodnie recenzenci „Dziennika Łódzkiego” i „Odgłosów”. Ale dalej już z tą zgodnością jest gorzej. Jest to sztuka o Józefie Piłsudskim — powiada Jerzy Bąbel i ma za to, chociaż przyznaje, że Piłsudski „...był jedną z największych indywidualności w naszej historii...”. Jest to sztuka nie o Legionach, a obchodowa — powiada Jerzy M. Fiedosiejew, jakby sztuka o Legionach nie mogła być sztuką obchodową!

Jest to jednak sztuka o legionistach, a tym samym o Józefie Piłsudskim, bo Legionów od Piłsudskiego oddzielić nie można i nie trzeba. I szat rozdzierać nie potrzeba także. Piłsudski jako bohater o niepodległość nie powinien budzić naszego niepokoju. Piłsudski jako dyktator jest tego pełnym zaprezeniem. „Gałązka rozmarynu” to rzecz o pierwszym, chwalebny okres jego życia. Można go wykorzystywać, można przemilczeć, tylko że wtedy oddaje się go w pach politycznym przeciwnikom.

I tak refleksją chciałbym przejść do zakończenia mojego wywodu, a pomysł zakończenia poddał mi — przynajmniej — Jerzy Bąbel, cytując Piłsudskiego, że „...Polacy nie są zorganizowanym narodem — wobec czego znaczą w nich więcej nastrojów niż rozumowanie i argumenty...”. Niewątpliwie przesadził, ale przecież w większym niż mniejszym stopniu potwierdzało się to w nie tak znów odległych czasach.

I jeżeli — jak dalej stwierdził Piłsudski — „... sztuka rządzenia Polakami jest zatem wniecanie odpowiednich nastrojów...”, to nie sądzę, aby nastroje wywołane recenzjami, z którymi polemizuje, można było zaliczyć do pożądanych.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Emocje szkodzą myślowi

Jestem gorącym zwolennikiem wszelkiego rodzaju dyskusji, ale równocześnie takim samym przeciwnikiem prowadzenia ich w sposób chaotyczny. Bez należytego określenia zakresu tematycznego oraz wyjaśnienia przynajmniej podstawowych używanych przez dyskutantów, pojęć. Sytuacja przeciwna prowadzi do nieporozumień, zarówno w sprawach drobnych, jak i najważniejszych. Tak się właśnie rzecz ma w odniesieniu do „próby refleksji nad dziejami ojczyzny” Zenona Janusza Michalskiego.

Autor na samym wstępie pisze: „Nie będzie to recenzja. Nie jestem krytykiem teatralnym”. Później zaś stwierdza: „Już w pierwszym epizodzie, naboru do

szeregów — epizodzie tak skrytykowanym za brak tempa...”. Nieskrywaną pretensją do recenzentów spowodowana została ich ocena dotycząca elementu czysto teatralnego, sposobu realizacji przedstawienia, o czym Z. J. Michalski jakoby nie chce się wypowiedzieć.

dalej czytamy, że „Gałązka rozmarynu” to dla Jerzego M. Fiedosiejewa sztuka obchodowa”. Otóż nie ja i tak nazwałem, a Boy-Zeleński, z którym zresztą całkowicie się w tym względzie zgadzam. Z. J. Michalski pisze: „Nazwał kiedyś Boy-Zeleński „Gałązkę rozmarynu” sztuką popularno-historyczną”. Tymczasem zacytowany przeze mnie fragment zdania z recenzji Boya brzmi: „brak jest prawie zupełnie tego rodzaju sztuk obchodowych, popularno-historycznych” („Kurier Poranny”, nr 315 z 1937 r.). Otóż pierwszego z dwóch określeń mój polemista w cytacie już „nie zauważył”. Również nie ja wykpiwam „spotkanie na polu bitwy ojca — rosyjskiego jeńca (chyba żołnierza — przyw. J. M. F.) z synem w legionowym mundurze”. To znów Boy-Zeleński, z tym, że chodzi tu przede wszystkim o nadmiar dramaturgicznych zawziętości, co też się tyczy raczej spraw teatralnych.

Obok tych drobnych „potknięć” i „nieporozumień” spotykamy w tekście Z. J. Michalskiego także poważniejsze. Pisze bowiem mój adwersarz: „Nasyłł Zygmunt Nowakowski swą sztukę, oddając wiernie atmosferę tamtego czasu, wątkami religijnymi. W przytoczonej scenie wigilii w okopach jawi się kościół, jako ważny czynnik...”. Otóż żaden Kościół nie tam nie jawi, ponieważ Kościół to jedno, a religijność — może być czasem zupełnie czymś innym, i mieszając tych dwóch pojęć nie należy, bo efekty takie go zabieg mogą się okazać wręcz zaskakujące. Jak też nie należy udawać, że się nie wie, dlaczego biskup zamknął przed legionistami drzwi kieleckiej katedry.

Nie należy też udawać, że się nie wie, co i kto napisał, zwłaszcza w tekście, z którym podejmuję się polemikę. Serdecznie oburza się Z. J. Michalski na stwierdzenie, że „strzelcy Piłsudskiego zostali powitani z niechęcią, a nawet wrogo”. I tym razem jest to w mojej recenzji cytata z artykułu prof. dr Andrzeja Garlickiego, autora książki: „Geneza Legionów”. U źródeł obozu „belwederskiego”, „Przewrót majowy”. Od maja do „Brzeźnia”. Rozumiem, że dla Z. J. Michalskiego niżej podpisany autorzytetem nie jest i być nie musi, ale prof. Andrzej Garlicki?.. Poza tym: czyżby Z. J. Michalski, znawca — jak można by sądzić — legionowej historii, nie znał ostatniej zwrotki „Pierwszej brygady”?

Dalej — poddając w wątpliwość stwierdzenie, że ludność nie chciała wierzyć tym, którzy ścisłe i od lat współpracowali z jednym z zaborców — Z. J. Michalski pyta: „Czy naprawdę mieliśmy wtedy na ziemiach polskich tak bardzo politycznie wyrobione wszystkie klasy i warstwy społeczne? Czy naprawdę chłop, sklepikarz i aptekarz tak doskonale byli poinformowani o dotychczasowych stosunkach Piłsudskiego? Cóż, jeśli ktoś żywił tak ogromną estymę do Komendanta, musi być wierny jego poglądom z których takie właśnie pytania mogą się rodzić. Nie to zresztą nowego. W tej materii Józef Piłsudski miał zarówno prekursorów, jak i naśladowców. Mnie jednak nie odpowiada towarzyszytwa ani pierwszych, ani drugich i o wyrobieniu politycznym społeczeństwa polskiego jestem wszakże odmiennego niż Piłsudski zdania.”

Kwestionując moją opinię, że historia potwierdziła zasadność niechęci społeczeństwa do Legionów, Z. J. Michalski z oburzeniem wola: „No przecież tak nie można! Ze rozpario się wygodnie w II Rzeczypospolitej wielu chłopów z I Brygady do wszystkich wiemy”. I dalej — jak w tekście, znanym już Czytelnikowi.

Nie jestem pewny czy Z. J. Michalski tylko udaje, czy naprawdę nie wie, o co chodzi. Przecież nie o wrodzone stółki i cienie osadki, o to natomiast, że nie kto inny, jak właśnie Piłsudski wszelkimi siłami przeciwdziałał — z pozytywnym zresztą skutkiem — rewolucji społecznej, że był zwolennikiem błędnej krótkowzrocznej i szkodliwej dla Polski polityki wschodniej, że tworząc Komisję Skonfederowanych Stronnictw Politycznych, budował drugą, obok endeckiej, siłę burżuazyjną, że wreszcie w sposób drastyczny położył tamę rozwojowi polskiego parlamentaryzmu. Donrwać trzeba bezgranicznej naiwności bądź o takową niżej podpisanego posażać, by rzecz całą sprowadzić do błyskotliwych karier i osadzek narudziesięciu czy paru set bitych legionistów. Ale też — w tym kontekście — mniejsze zdziwienie budzi przekonanie Z. J. Michalskiego, że „sztuka przedstawiała coś z prawdy o tamtych czasach”. Prawdy — zdaniem mojego adwersarza — przemilczanej i zniekształconej.

W tym miejscu zgadzam się z Z. J. Michalskim. Rzeczywiście, tak bywało. Obowiązywało w pewnych okresach naszych dziejów najnowszymi prawem w myślenie było to, o czym się nie mówiło i nie pisało. Ale równocześnie niech nas los strzeże przed nauką o czystej historii z „Gałązki rozmarynu”. Emocje bowiem nigdy nie zastąpią wiedzy. Wzruszać się można w teatrze, ale nie nad podreklamowaniem historii. Żywiony przez wielu — często jedynie na podstawie umiejętnie spreparowanej i bezkrytycznie przyjmowanej legendy — sentyment do Piłsudskiego nie może przesłonić faktu, że był to polityk anarchiczny, lansujący koncepcje wsteczne, nie umiające (ale też chyba i nie pragnące) zrozumieć i przystosować się do zmienionych do I wojny światowej realiów politycznych Europy. I żeby ktoś nie wiał jakąś miłością darzył Komendanta — tych faktów nie zmienia. Jeśli więc mówimy o „odkłamaniu” historii, to nie traktujemy tego manipulacyjnie, jak to czyniono jeszcze nie tak dawno, podlewając wszystko okliwymi, bogoczylnianym sosem Oddajmy Piłsudskiemu to, co mu się należy, ale nie stwierdzajmy przy okazji, że „ten człowiek wbrew wszystkiemu i wszystkim poderwał do walki o Niepodległość”, bo to nieprawda. Ani wbrew wszystkim (ogarniając Europę ruchy rewolucyjne stwarzały podatny grunt dla realizacji dążeń wywoleńców ujarzmionych narodów), ani wbrew wszystkim (od Karola Marksa począwszy) stanowisko teoretyków i przywódców ruchu robotniczego było w sprawie niepodległości i niezawisłości Polski niezwykłe jasno określone.

Czas przeto skończyć z „wzniesieniem odpowiednich nastrojów”, pora zaś najwyższą zacząć obsługiwać się rozumem. Jestem przekonany, że właśnie dzisiaj jedna z najpotrzebniejszych nam rzeczy jest jasna, racjonalna, przewidywalna i emocji i sentymentów myśl. Tej zaś — z przykrością stwierdzam — w tekście Z. J. Michalskiego nie znalazłem.

JERZY M. FIEDOSIEJEW

Uderz w stół a... piłsudczyk się odezwie

No i odezwał się również w zgola niespodziewanym rogu owego przysłowiowego stołu. Bo oto za recenzję z „Gałązki rozmarynu” zostałem skarcony przez Zenona Janusza Michalskiego, człowieka, któremu — przynajmniej tak mi się do tej pory wydawało — zależę na obiektywnej ocenie faktów i analizie wiarygodnej jako części procesów historyczno-społecznych. Wydawało mi się niesłuszne, ale cóż — rzeczą ludzką jest się mylić. Nie pomyliłem się natomiast pisząc, iż „zostałem skarcony”, jako że w żaden sposób tego, co zarzucił mi w swym artykule Z. J. Michalski nie można uznać za uczciwą i rzeczową polemikę z napisanym przeze mnie artykułem w „Dzienniku Łódzkim”. Postaram się do tego uzgodnić.

Zacznijmy od rzeczy najbardziej szokującej, gdy zwazymy, że opinii tej przytoczona wyraził długoletni, wytrwały wykładowca nauk społeczno-politycznych, m.in. w wyższej szkole artystycznej. „Sądzę przede wszystkim, że nie o społeczny koszt wystawienia sztuki trzeba pytać, a o społeczny koszt wieloletniego przemilczania lub zniekształcania jednego z rozdziałów naszych walk narodowowyzwoleńczych”. Boże ty mój, to już nawet i u nas sztuka przestała być zjawiskiem społecznym! Toż to kuriozum! Zaś co do drugiej — jak najsluszniejszej zresztą — treści stwierdzenia, mam tylko jedno pytanie: kogo, kogo, Panie Doceńcie należy o to pytać? Zamiast odpowiedzieć przytoczę to, co usłyszałem po zakończeniu „Gałązki rozmarynu” z ust studentki (może właśnie pańskiej?) PWSFTiW — „Wreszcie coś prawdziwego o Piłsudskim. Jestem z rodziny o wspaniałych tradycjach endeckich i Marszałek zawsze u nas w domu cieszył się wielkim szacunkiem...”. Myślę, że i Marszałek, i Dmowski przekreślił się w grobach i zadumali się nieco głębiej niż Pan, nad wzajemnymi powiązaniami mitologii społecznej, sztuki, polityki i ideologii.

Ale to wszystko anegdota, przejdźmy do meritum sprawy. Pisze Z. J. Michalski, że „jak ktoś bardzo chce coś zobaczyć,

się tego, żeby przykładała się do potęgowania owych deformacji”. Zdaniem mego krytyka zanępkowało mnie i to „bardzo” — uwielbienie legionowej młodzieży dla Józefa Piłsudskiego. Bzdura kosmiczna! Nie jestem ani lekarzem geriatry, ani administratorem „Domu Złotej Jesieni”, aby jakikolwiek emocje lub stany ducha „legionowej młodzieży” pódubowały mnie do jakiegokolwiek reakcji. Nie mogę natomiast udawać, iż nie widzę, że odpowiednim doborem treści i środków formalnych wzmawia mi się ze sceny, że i dzisiaj mit Piłsudskiego funkcjonuje dzięki autentycznym emocjom, oczekiwaniom i potrzebom ludowym. Jest to już manipulowanie ze strony inscenizatora, naginające rzeczywistość do potrzeb własnego wywodu, podobne w metodzie temu, jakim posłużył się mój adwersarz, rozprawiając się o „prawdami”, których nigdy nie głosiłem.

Dotyczy to zresztą nie tylko treści, o których pisałem w mej recenzji, ale i ocen artystycznych tam zawartych. Kokieterijnie zasłoniwszy się niekompetencją wytyka mi Z. J. Michalski niekonsekwencję w ocenie formalnej spektaklu. Czyny to metodą przedstawioną już wcześniej, a więc: wytrawianiem niepełnego cytatu z kontekstu, przypisywaniem temu, co piszę o inscenizacji temu co rzekomo sądzi o samym dramacie itd. itd. Dla dokumentacji przytoczę pewien fragment ilustrujący technikę „dyskusji”: „... (..) z przykładem dotyczącym śmierci jednego z bohaterów, który: „... kona, kona i kona... aż do ostatnich słów tytrady przez siebie deklamowanej” (to cytuję z mojej recenzji — przyp. J.B.) zgodzić się nie mogę. Ci, których los rzucił na bitewne pola ostatniej wojny, byli nieraz świadkami znacznie bardziej skomplikowanych przedśmiertnych wyznań. To nie „długosć tytrady” zdecydowała o czasie konania, to śmierć określiła granicę czasową żołnierskiego testamentu. A to istotna różnica”. No właśnie! Nie wiem, gdzie był pan docent Zenon J. Michalski, bo ja „Gałązkę rozmarynu” oglądałem w teatrze, a nie na bitewnym polu. Radzę więc zostawić kokieterię na bok i trzymać się samej niekompetencji.

Po zapoznaniu się z zarzutami stawianymi mi przez Z. J. Michalskiego w artykule „Raduje się serce, raduje się dusza...” doszedłem początkowo do wniosku, iż jego autor ustawił mnie w kacie nie przeczytał mej recenzji zbyt dokładnie lub też w ogóle nie z niej nie zrozumiał. Później jednak zorientowałem się, że rzecz ma się nieco inaczej. Z. J. Michalski po prostu nie chce zrozumieć, co napisałem, gdyż moja recenzja służy mu jedynie za pretekst do wyrażenia swych opinii na sprawę o wiele szersze. Zastanawiając się więc, czy w ogóle w tej sytuacji reagować na przeinaczenia i manipulowanie moim tekstem, ale ciężar gatunkowy końcowego zarzutu skierowanego przeciwko temu co napisałem (wróć jeszcze do tej sprawy), a przede wszystkim istota rozważań czynionych na marginesie mej recenzji, skłoniły mnie do odpowiedzi. Tym bardziej, iż z Zenonem Januszem Michalskim należymy — używając języka sportowego do tego samego klubu (choć prawdopodobnie reprezentujemy różne jego sekcje) społeczno-polityczny i interes tego klubu wymaga, by o pewnych sprawach podyskutować.

Zacznijmy od rzeczy najbardziej szokującej, gdy zwazymy, że opinii tej przytoczona wyraził długoletni, wytrwały wykładowca nauk społeczno-politycznych, m.in. w wyższej szkole artystycznej. „Sądzę przede wszystkim, że nie o społeczny koszt wystawienia sztuki trzeba pytać, a o społeczny koszt wieloletniego przemilczania lub zniekształcania jednego z rozdziałów naszych walk narodowowyzwoleńczych”. Boże ty mój, to już nawet i u nas sztuka przestała być zjawiskiem społecznym! Toż to kuriozum! Zaś co do drugiej — jak najsluszniejszej zresztą — treści stwierdzenia, mam tylko jedno pytanie: kogo, kogo, Panie Doceńcie należy o to pytać? Zamiast odpowiedzieć przytoczę to, co usłyszałem po zakończeniu „Gałązki rozmarynu” z ust studentki (może właśnie pańskiej?) PWSFTiW — „Wreszcie coś prawdziwego o Piłsudskim. Jestem z rodziny o wspaniałych tradycjach endeckich i Marszałek zawsze u nas w domu cieszył się wielkim szacunkiem...”. Myślę, że i Marszałek, i Dmowski przekreślił się w grobach i zadumali się nieco głębiej niż Pan, nad wzajemnymi powiązaniami mitologii społecznej, sztuki, polityki i ideologii.

Ale to wszystko anegdota, przejdźmy do meritum sprawy. Pisze Z. J. Michalski, że „jak ktoś bardzo chce coś zobaczyć,

Dokończenie na str. 11

Dokończenie ze strony 1

— Dlaczego nieczynna? — powtarzam pytanie.
— O tym później — odpowiada niechętnie doktor.

— W takim razie wróćmy jeszcze do powodów, dzięki którym pan swojej decyzji nie pozostawał. Czy ten zawód okazał się ciekawym lub łatwiejszym, a może mniej nerwowym, niż pan sobie wyobrażał?

— Nie, to nie to. Jak każdy zawód, tak i ten ma swoje blaski i cienie. Ale nie wyobraża pan sobie, jak często spotyka się weterynarz ze szczerymi objawami wdzięczności ludzi, którym wyleczył psa lub kota, nieraz jedynego i ostatniego przyjaciela, nie mówiąc o satysfakcji z faktu, że się przyniosło ulgę choremu, bezradnemu zwierzęciu, dochodzi do tego także świadomość społecznych korzyści z wyleczenia zwierzęcia gospodarskiego.

— Czy z tego wynika, że, pana zdaniem, ludzie są na ogół „dobrzy” dla zwierząt?

— Jako weterynarz, wzywany do pomocy, stymuluję głównie z tymi, którzy lubią zwierzęta lub odnoszą się do nich pozytywnie ze względów chociażby czysto użytkowych. Oczywiście, często spotyka się niewłaściwy czy po prostu okrutny stosunek do zwierzęcia. A co do ludzkiej dobroci dla zwierząt, to uczuciowe przywiązanie nie zawsze idzie w parze ze zrozumieniem potrzeb zwierzęcia, zarówno biologicznych, jak i — powiedziałbym — uczuciowych. Nierzadko posiadacze małych zwierząt domowych — psów, kotów, nawet świnek morskich, traktują je prawie jak bliskie osoby, niemal jak dzieci, dostarczając im wygodę i przyjemność, które zwierzęciu wcale nie wychodzą na zdrowie. Zdarza się na przykład, że duże psy o gęstej sierści chowa się, dla ich rzekomego dobra, jak pod kłosem, trzymając zbyt długo w ciasnym i przegrzanym pomieszczeniu, rozkładając się na przykład owczarki czy pudli legowisko pod piecem lub kaloryferem, chociaż zdrowiej by mu było hasać na dworze, nawet w mróz i sypiać w pomieszczeniu chłodnym (byłe nie na betonie!), przekarmia się też swoich miłośników tłuszczykami, rosółkami, stodyczkami, daje się nieopatrnie kosić od drobiu zamiast wołowych lub końskich. Ogólnie biorąc, nie najwyższe jest u nas stan świadomości w tym względzie i często ludzie decydują się na zwierzę, nie zdając sobie sprawy, że nie mogą mu zapewnić odpowiednich warunków, nieraz nie przewidując, ile może kosztować utrzymanie zwierzęcia. Ale zauważam też objawy pocieszające. Jest bowiem większa, w porównaniu z okresem bezpośrednio powojennym, chęć posiadania zwierząt domowych, zwłaszcza dla zaspokojenia życzeń dziecka, co zresztą ma dodatnie znaczenie dla uczuciowego rozwoju małego człowieka. Coraz częściej ludzie, zwłaszcza starsi i samotni, biorą psa w celach obronnych.

— Odliczmy jednak od tej wzrastającej liczby miłośników zwierzęcia domowego tych ludzi, którzy kupują rasowe, rodowodowe zwierzęta w celach czysto handlowych, wiemy przecież jak bardzo jest to ryzykowne, a czasem też ze snobizmu, ponieważ panuje właśnie taka moda i z psem może być komus „dotwarzyć”.

— Tak, bywają takie mody i to na określoną rasę psów, no i rzeczywiście sporo osób hoduje zwierzęta na handel i to ludzie stosunkowo zamożni, skłonni handlować czym tylko się da. Ci pseudomiłośnicy chowają nieraz zwierzęta w opłakanych warunkach.

— Ale, wracając do niskiego uświadomienia co do warunków, jakich wymaga zwierzę. Co się robi, aby tę świadomość podnieść?

— Sporo zdziałyby po wojnie służby weterynaryjne czy oświaty rolniczej, ja sam odbyłem ogromną liczbę odczytów i pogadanek na wsi i w mieście, przy dużym na ogół zainteresowaniu. Ale to jeszcze nie wystarcza. Sądzę, że

Zwierzęta i niez zwierzęta

brak jest przede wszystkim odpowiedniej literatury popularnej w wystarczającym nakładzie.

— Panie doktorze, spotykamy się często ze stereotypowymi poglądami na temat wrodzonych cech poszczególnych gatunków i ras zwierząt, a nawet ich skłonności osobniczych, że mianowicie taka to a taka rasa odznacza się agresywnością, a inna jest łagodna, że jedne zwierzęta lub ich rasy są mądre, a inne głupie, że pies jest wierny, a kot fałszywy, itp. Co pan o tym sądzi?

— Nie ulega dla mnie wątpliwości, że na przykład u różnych psich ras dominują różne cechy. Wołę jednak nie operować przykładami, zwłaszcza ujemnymi, żeby nie sprawić przykrości właścicielom. Są też różnice osobnicze w uosobieniu zwierzęcia, jego skłonnościach. Moim zdaniem, duże znaczenie ma wpływ wychowawczy człowieka. Inne cechy rozwijają się u psa bitego, inne u rozpieszczonego, inne u zastraszonego. Sądzę, że niemało jest prawdy w opinii, iż pies jest „odbiłem” swojego pana. Pies zresztą doskonale wyczuwa zmianę nastroju właściciela.

— A czy to prawda, że kundlie są pojętniejsze i sprytniejsze od psów rasowych i lepiej sobie dają radę w sytuacjach nieprzewidywalnych?

— Chyba coś w tym jest. Czy wrócił pan uwagę, że w cyrkach trenerzy przeważnie posługują się psimi mieszankami, choć z drugiej strony do określonych, sprzecznych zadań, np. policyjnych czy ratowniczych, używa się wybranych psich ras, z czego znów wynikałoby, że niektóre rasy są podatniejsze na tresurę w ściśle określonym kierunku, zgodnym z ich wrodzonymi predyspozycjami, a te z kolei mogą zależeć od tego, jakie zwierzę — wilk czy szakal — było protoplastą rasy udomowionej. Ale to chyba odrębna dziedzina, w której weterynarz nie jest przecież specjalistą.

— Proponuję, panie doktorze, abyśmy nie mówili o samych rzeczach miłych, odnoszących się do wzajemnego kontaktu człowieka i zwierzęcia. Istnieje przecież ciemniejsza strona tego współżycia, jak np. choroby tzw. odzwierzęce, a obawiam się, że wielu posiadaczy zwierząt nie zdaje sobie sprawy z określonych niebezpieczeństw.

— A są to istotne niebezpieczeństwa, i wcale nierzadkie. Pomimo bowiem postępu medycyny i weterynarii, które doprowadziły do niemal całkowitego zaniku nosacizny czy węgla, do znacznego także ograniczenia niebezpieczeństwa przyszczy, pozostaje jeszcze wiele zagrożeń zdrowia ludzkiego, zarówno ze strony zwierząt małych, jak i dużych, zarówno domowych, jak i dzikich, a tylko o niektórych z nich wie się trochę więcej, np. o wściekłości, która zresztą najczęstsza jest obecnie u zwierząt dzikich — lisów, wiewiórek. Przede wszy-

tkim nie powinniśmy pozwalać się lizać po twarzy psom czy kotom i sami nie powinniśmy ich całować, czy też pozwalać im jeść z nami ze wspólnego talerza, co się zdarza. Można się bowiem nabawić na przykład salmonelli, czyli choroby bakteryjnej paratyfusowej, albo znajdujących się często w sierści zwierząt pasożytów lub bakterii ropnych, nie mówiąc o świerzbie czy egzemii. Ważne jest więc przestrzeżenie wskazań higieny i korzystanie z opieki weterynaryjnej i lekarskiej. Kontakt z dużymi zwierzętami może zawierać również potencjalne niebezpieczeństwo. Obecnie dość często jest u bydła i trzody Brucelloza, zwana chorobą Banga, która wprawdzie przenosi się na człowieka mającego bezpośrednią styczność z chorą zwierzęciem, ale w skutkach jest ona groźna, powoduje zapalenie jąder i jajników, a w konsekwencji może pociągnąć za sobą bezpłodność.

— Obawiam się, panie doktorze, że nasz czytelnik popadnie teraz w panikę i zacznie stronić od zwierząt jak od ognia, pozbywając się swoich domowych przyjaciół sposobem nie zawsze humanitarnym, czego i tak mamy już przykłady w postaci wywożenia psów samochodem o dziesiątki kilometrów od domu i porzucania ich na szosie, nie mówiąc o drastyczniejszych metodach likwidacji.

— Tak, wprawdzie zdarza się to być może nierzadko, ale na ogół nie z powodu nagłego uświadomienia sobie potencjalnego niebezpieczeństwa chorób odzwierzęcych, lecz często z wygodnictwa albo ze zmiany warunków mieszkaniowych na mniej korzystne dla zwierzęcia, lub z innych powodów, choć we wszystkich tych przypadkach pozostaje jeszcze, jeśli nie schronisko opieki nad zwierzętami (co prawda nielato osiągalne), to przynajmniej uspienie przez weterynarza. Moja przestroga ma na celu propagowanie racjonalnej postawy, świadomej trudności i niebezpieczeństw, ale postawy zarówno humanitarnej, jak i wolnej od egzaltacji. Myślę też, że nie zniechęca nikogo do hodowli świń i spożywania mięsa wieprzowego, jeśli przestrzeżę przed kupowaniem świń w nielegalnym uboju, a więc z reguły nie badanego przez weterynarza, co grozi włośnicą (trychinozą). Byłem świadkiem śmiertelnych skutków spożycia mięsa z trychinami, m.in. przed laty zgonu w męczarniach 6 osób w Skierniewicach, po weselnej uczcie. W tej chwili jest to niebezpieczeństwo bardziej realne, niż kiedykolwiek.

— Czy wystarczy, w przypadku zabicia świni (założmy teoretycznie, że legalnego) zbadanie kawałka mięsa z dowolnej części zabitej sztuki?

— Nie. Bo na przykład w szynce może nie być trychin, a mogą znajdować się w przepnie i innych mięśniach oddechowych, trzeba więc każdą partię mięsa czy wyrobu, pochodzącego z tej samej sztuki, badać oddzielnie. Inna sytu-

cja jest przy uboju legalnym, na przykład w rzeźni, pod kontrolą weterynarza, który po zabiciu zwierzęcia bada tylko mięśnie oddechowe i jeśli w nich nie znajdzie trychin, ma wtedy pewność, że nie będzie ich również w pozostałych partiach mięsa.

— Wróćmy jednak do małych zwierząt domowych, którymi się pan w ostatnich latach zajmuje. Ile, mniej więcej, może być ich w Łodzi?

— Na podstawie wycinkowych, fragmentarycznych ilustracji, w czasie których zresztą pewną część zwierząt jest zatajana przed inspekcją, a dochodzą do tego jeszcze bezpańskie psy i koty, oszacowałbym liczbę samych psów w Łodzi najostrożniej na 80 tysięcy.

W czasie szybko dobiegającej końca rozmowy uświadomiłem sobie, że już po raz czwarty czy piąty rozlega się dzwonek telefonu z zapytaniem, o której można przyjść z chorą zwierzęciem, a następnie głosy zdziwienia lub oburzenia, że lecznica jest obecnie po południu nieczynna, właśnie o tej porze, kiedy ludzie pracujący mają czas. Wracam więc do pytania na ten temat.

— Przychodnia jest zamknięta po południu od listopada — wyjaśnia mi doktor — w związku z czym rozstałem się ze swoim półtatem.

— Rozumiem, że zawieszono popołudniową działalność lecznicy w związku z pańską rezygnacją z dalszej pracy?

— Na odwrót! Bo widzi pan, nastąpiła ostatnio zmiana kierownictwa przychodni, które zdecydowało, aby ją zamknąć po południu, a mnie zaproponowano pracę przedpołudniową, co mi nie odpowiada, formalnie więc to ja zrezygnowałem.

— Ale dlaczego nie dało się utrzymać wydłużonych godzin pracy placówki?

— Doprawdy nie wiem, słyszałem tylko, że są kłopoty ze sprzętami, ponieważ nie można podobno uzgodnić tego ze sprzątaczką, której te godziny nie odpowiadają. Być może nie ma środków na zatrudnienie dodatkowej siły. Doprawdy, nie jestem w tym zorientowany i są to tylko moje domniemania.

— A jak się pan czuje teraz, beczny po tylolektnej pracy w zawodzie?

— Fizycznie czuję się jak najlepiej. A psychicznie? Mogę panu na to odpowiedzieć, że w ciągu 45 lat pracy w uświadomionej służbie weterynaryjnej dosłownie przez ani jeden dzień nie korzystałem ze zwolnienia lekarskiego. Ale co! Słyszy się, że brak fachowców również i w tej dziedzinie, a już tu, na tych peryferiach, jestem stale na miejscu, dosłownie za ścianą lecznicy. A co do właścicieli zwierząt, to część z nich może będzie musiała korzystać ze zwolnienia z pracy przed południem.

Przy wejściu do budynku lecznicy spotykam starszą panią, aż z Teofilową, z saterem, na smyczy i kilkunastoletnią dziewczynę z chorą jamnikiem w koszyku. Pierwszą myślała, że jeszcze urzęduje po południu dr Pleszkiewicz, druga po prostu nie mogła zwinąć się ze szkółki, żeby o uczesniejszej porze przynieść tu swojego ulubieńca. O parę kroków dalej spotkałem też mężczyznę z psem, zdążającego do lecznicy. Kiedy mu wyjaśniłem, że nie ma po co, wyraził z siebie kilka niezbyt cenzuralnych określeń, adresowanych chyba znacznie wyżej niż należało.

Było już ciemno, zaczął zacząć zimny deszcz.

JERZY KWIECIŃSKI

Polemiki • Opinie • Poglądy

Dokończenie ze str. 10

to i w końcu, nawet wbrew stanowi faktycznemu, zobaczył. Mózgi to odwrócić i powiedzieć, że jak ktoś chce uchodzić za ślepego to nawet przy najlepszym świetle nie będzie widział. Moglibyśmy więc bez końca twierdzić: ja — że jest to sztuka o charyzmie Piłsudskiego, Michalski — że o patriotyzmie, poświęceniu itd. Dodajmy od razu, że to dwie sprawy w rzeczywistości miały wiele, bardzo wiele płaszczyzn wspólnych. Na całej szerokości jest fragment, który te dyskusje mogłoby doprowadzić do końca. Z J. Michalski przyznaje w końcu jednak, że „Jest to sztuka o legionistach, a tym samym o Józefie Piłsudskim, bo Legionów od Piłsudskiego oddzielić nie można i nie trzeba. I szat rozdierać nie potrzeba także. Piłsudski jako bohater i niepodległość nie powinien być budźcie naszego niepokoju Piłsudski jako dyktator jest tego pełnym zaprzeczeniem. „Gąsienka rozmarzyła” to rzecz o nierwyszym, chwalebny okres jego życia. Można go wykorzystywać, można przemilczeć, tylko, że wtedy odwołuje się go w naci politycznym przeciwnikom”. Niestety w szczególności zakończeniu sporu przeszkadza jedno ale. To to, że trzeba odróżnić środki od celu. Środkiem jest patriotyzm, poświęcenie, niezaprzeczalna rola Piłsudskiego w odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Celem zaś: pokonanie, że był to jedyny rodzaj poświęcenia jedyna droga do uzyskania niepodległości i mił tanjacy Piłsudskiego jako wzorce osobowy w ogóle, a nie w jakichś tam latach od. do. Skąd, że tego Z. J. Michalski nie zauważył.

stroje wywołane recenzjami” nie można „zaliczyć do pożądanych”. A to dlaczego? Sam przecież nawołuje do otwartości w poruszaniu wszystkich spraw. Sam głosi prawo do odmienności ocen i sądów. Czyżby więc chodziło o to, że wraz z kolegą Jerzym Fiedosiejewem w swych recenzjach wyrażiliśmy opinie nie najpopularniejsze w tych czy innych kręgach; że wyrażiliśmy swe krytyczne uwagi na temat budowania mitu, wygodnego dla wielu jako koncepcja rządzenia i traktowania społeczeństwa; czy też może wbiłmy klin w rodzące się z takim trudem porozumienie narodowe, szargając świętości? Na pewno nie o tym myślał Zenon Janusz Michalski insynuując mi makławelizm, ale na wszelki wypadek ucieknę się na zakończenie pod obronę Stanisława Brzozowskiego, który pisał: „Istnieje u nas kategoria umysłów, która uczyniła z dobroci, wyrozumiałości jedyny sprawdzian kulturalny. Dobre, cenne, słuszne jest to, co nas nie rani, co nam nie wstrząsa, nie razi naszych nalogów i przyzwyczajęń. J. Twierdzą („te umysły” — przyp. J.B.), że ma prawo domagać się od myśli polichey. Polichey i ukोजना — nie prawdy w braterstwie i miłości, nie dostrzegając zagłady uległiem jej i niechaj ostatnie słowo dwóch ostatnich Polaków będzie pełne pogody i szlachetnego optymizmu — Kochajmy się bracia i sursum corda! I wiecznie, i wiecznie ci, co przeżyli wszystkie nieszczęścia i nieczego się z nich nie nauczyli domagają się, aby w imię tej niedoli, którą wraz z innymi gotowali, być dla nich, dla wszystkich, dla samych siebie wyrozumiałym”.

JERZY BĄBOL

Wie dobrze lewica co myśli „lewica”

Boże uchowaj wplatać się w dyskusję prasową! Najlepiej czytać sobie w spokoju ducha, co inni piszą i nie mieszać się, nawet jeżeli pismo swierzbi. A jak się samemu już coś napisało i zostało publicznie zaatakowanym, powinno się puszczać to mimo uszu. Bo liczne przykłady prasowych polemik świadczą o tym, że czytelnik — a także i polemista — nieuchronnie się w nich gubi, ponieważ czytając kolejne wypowiedzi dyskutantów nie zagląda zwykle do poprzednich.

Milczalbym więc jak grób, gdyby nie to, że p. Edward Kaczanowski z Piotrkowa Tryb., który w nr 36 „Odgłosów” w artykule „Jak to jest z tą lewicą” — ostro skrytykował mój artykuł z nr 35 pt. „Lewica i lewica” — wezwał mnie, abym się „wypowiedział w tej sprawie obszerniej”. Co prawda, nie zamierzam obszerniej, ponieważ

mój wspomniany artykuł jest już dostatecznie obszerną wypowiedzią na marginesie „Zapisów współczesnych” Edmunda Tulki w „Dzienniku Łódzkim” z 4 listopada br. A komu starczy teraz czasu i cierpliwości, by przejrzeć przed lekturą niniejszego wszystkie trzy głosy poprzednie? Mnie by się nie chciało...

Mój polemista, który, jak sądzę, na własną rękę próbuje wyrezytować Tulkę (któremu jako niesporo chwycił w tej sprawie za pióro, zapewne wobec zasadniczej niesprzeczności wyrażonych przez nas obu poglądów), otóż p. Kaczanowski zarzuca mi, że „ustawilem” sobie wypowiedź E. Tulki w sposób dla siebie wygodny. Nie „ustawilem”, bo przyznałem, że korzystam z niej jako z pretekstu.

Oddam teraz bez walki wstępny punkt Szanownemu Adwersarzowi. Owszem, przyznaję, że użyłem pojęć „lewicowicz” i „komunista” w ujęciu tak bliskoznacznym, iż można było przypuścić, że je identyfikuję. Zapewniał więc p. Kaczanowski i ewentualnych naszych Czytelników, że uznaję pojęcie lewicy znacznie szersze, zgodnie z potocznie przyjętymi w życiu politycznym podziałami, co zważnia mnie od dalszych wywodów na ten temat. Wyznam także, że przykładem komunisty jako lewicowca posłużyłem się nie tylko w niekontrolowanym odruchu, lecz również dlatego że nie powiniem on, moim zdaniem, wywoływać takich nieporozumień, jakie powstają nieraz wokół reformistycznych kierunków lewicowej myśli.

— Ale w kolejnej kwestii odnośnie wrażenie, że p. Kaczanowski puszcza porozumiewawcze „perskie oko” (nie do mnie, lecz do jakichś czytelnicznych kręgów), kiedy stwierdza, że zastosowany przeze mnie wrótnik lewicowicz, tj. „opowiadanie się po stronie socjalistycznych, klasowych struktur państwa i za socjalistycznym modelem społeczno-gos-

podarczym” jest wyróżnikiem nietrafnym, ponieważ — jego zdaniem — „odpowiada płaszczyźnie porozumienia narodowego, opartego na płaszczyźnie Konstytucji PRL”. Z tego sformułowania p. Kaczanowski wynikałoby, że wszystkie siły polityczne zawierające u nas wzajemne porozumienie, kwalifikują się, jako lewica. Ale zaraz w następnym zdaniu p. Kaczanowski sobie przeczy pisząc: „Nie wszystkich przecież, którzy mieszczą się w tej formule zaliczyłbym do lewicy”.

No i nie wiem, czy p. Kaczanowski zgadza się ze mną czy nie. Co do mnie, to zgadzam się z tym drugim jego sformulowaniem, ponieważ porozumienie nie musi być zawierane na gruncie zbliżonych założeń ideowo-swiątopoglądowych, wystarczy bowiem realistyczne uznanie przez wszystkich kontrahentów wspólnej racji stanu, jako racji najwyższej i nieodwracalnej, chyba że za cenę wojny światowej, której żadne rozumne i patriotyczne siły nie pragną. Aby wejść w porozumienie z PZPR nie trzeba więc kochać socjalizm, wystarczy dobrze żyć z krajem i społeczeństwem, bez względu na to, jaki mamy ustrój.

I całkiem teoretycznie rzecz rozstrząsając, można sobie wyobrazić, że w przypadku zmiany globalnego układu sił porozumienie mogłoby się uszczuplić o tego czy innego partnera aktualnej współpracy z partią, a ci, którzy by i wtedy w sojuszu z nią „pozostali” byłiby bez wątpienia lewicą. Na szczęście mamy pokój i niezachwiany układ sił.

W liście p. Kaczanowskiego najistotniejsze jednak to, czego w nim brak, a brak jest ustosunkowania się do głównego tematu mojej wypowiedzi. Gdyby bowiem ktoś przeczytał najpierw z uwagą art. E. Tulki, a następnie moją, nawiązującą doń, wypowiedź, stwierdziłby bez trudu, że o ile dla red. Tulki główną spr-

wa było zagadnienie tolerancji, o tyle dla mnie związki zachodzące pomiędzy klasowym podejściem do socjalizmu a wymogiem międzynarodowości, a „Grunwaldzie” i „Barwacz” — uznałem, iż tylko pod jednym względem można by zakwalifikować owe ugrupowania, czy środowiska jako lewicę, a mianowicie — z uwagi na ich program społeczny i stosunek do socjalistycznych struktur państwa, natomiast ich istotne odstępstwa ideowe od (deklarowanych werbalnie) poglądów międzynarodalistycznych nie pozwalają ich uznać za autentycznie lewicowe. Kto ciekaw, jakich użyłem uzasadnień szczegółowych, tego odsyłam, łącznie z p. Kaczanowskim, do mojego poprzedniego artykułu.

Przy lekturze pierwszych zdań artykułu p. Kaczanowskiego o oczekiwałem, że natknie się na zarzut, iż swoja charakterystykę wymienionych ugrupowań przeprowadził zbyt ogólnie i kurtuazyjnie albo też że stanie on w obronie „narodowo” zorientowanego socjalizmu, bo te sprawy przecież stanowiły główną ośnoś bvm wówczas rozwinał szerszą argumentację, nt. zgubnych, moim zdaniem skutków nacjonalizmu i jego zasadniczej sprzeczności z patriotyzmem.

Zapraszam p. Kaczanowskiego na kawę do Łodzi, może mi prywatnie wywiawi, dlaczego temat międzynarodowości wydał mu się tak kłopotliwym? Że zweeklował go na bocne tory? A może przekonałam Go iż jest to tematyka dla znacznej części czytelników tak mało ważna, że nie starczy im orhoty by śledzić dalszą wymianę zdań w tej sprawie.

JERZY KWIECIŃSKI

Echdo Leis wrócił do domu tak zmęczony, że zdjął tylko buty i zaraz położył się na łóżku. Przymknął oczy i westchnął z ulgą, czując przyjemny bezwład ogarniający ciało. Najbardziej ciążyły mu nogi, ale było to wspaniałe uczucie ulgi, przywołujące miłomowlone uśmiechy na twarzy. Zawsze, gdy było mu dobrze, uśmiechał się.

Wreszcie zakończył się dzień pracy, teraz miał wolne popołudnie. Właściwie to nie praca go tak wykończyła. Bardziej męczące były powroty do domu. Od czasu, gdy w mieście zlikwidowano komunikację — rety! To już piętnaście lat — zdążył się, co prawda, przyzwyczaić do tych pieszych wędrówek, jednak atmosfera mieszkanka i widok kanapy powodowały, iż pierzchył ostatnie rezerwy sił. Kiedyś przespiał, ze zmęczenia, całe popołudnie, teraz, na szczęście, wystarczyło kilkanaście minut odpoczynku. Włączył telewizor. Rozjarzyła się cała ściana. Znowu! Co za bałwan wymyślił całocienny ekran w takich małych pokojach? Izdebka trzy na trzy metry, a ekran jak płótno kinowe. Idiotyzm.

Suwakiem zmniejszył przekątną monitora do dwudziestu trzech cali. Trójwymiarowy obraz od razu stał się wyraźniejszy, lepiej przyswajalny dla oka. Tleniona blondynka rozmawiała z jakimś facetem na temat gospodarki rolnej.

— Mam w d... gospodarkę rolną — powiedział Echdo Leis, akcentując pierwszą sylabę wiadomego słowa.

Tak było codziennie. Wcisnęli ludziom na się cały czas to samo. Rolnictwo to, rolnictwo tamto... zieleni, natura, cisza, czyste powietrze, zieleni, natura, cisza, czyste powietrze, zieleni, natura... Osobiście nie widział żadnego sensu pracy na wsi. Tutaj w mieście, miał święty spokój. Cztery godziny dziennie odpracowywał swoje w zakładzie i koniec. Nie miał najmniejszego zamiaru zatrywać się na śmierć w jakiejś zakichanej dziurze ze świeżym powietrzem. Zresztą, gdyby na wsi było tak dobrze, inni dawno by już tam byli. Skoro inni siedzą tutaj, to on też woli się nie wyrwać. Albo to mu źle!

Przełączył na inny program. Muzyka. Kilku młodocianych żałośnie próbowało wydobyć z siebie coś, co prawdopodobnie miało być śpiewem. Ta młodzież już nie wie co robić!

— Eee... — machnął ręką. — Niech będzie. — Podszedł do okna. Oho! Wyżli już mundurowi... Spojrzył na zegarek. Faktycznie. Piętnaście po trzeciej.

Obserwował mundurowych. Takim to dobrze! Łażą sobie spokojnie po całym mieście o którejś chęć, mają gdzieś godziny domowe. Nagle na chodniku ulicy prostopadłej do głównej zauważył biegnącego człowieka w kapeluszu na głowie. Tamten nie widział jeszcze mundurowych. Zauważył ich dopiero, gdy wypadł zza rogu.

Wpadł kolega — mruknął Echdo Leis. — Następnym razem dokładniej nastawiaj zegarek i pilnuj godziny domowej. Zresztą, co ja gadam... Nie będzie następnego razu. To koniec.

Człowiek w kapeluszu na widok mundurowych zwinął kroku i spokojnie podążył w ich kierunku. Tamci początkowo zerwali się, widząc jednak spokój niedoszłej ofiary również zwinili.

— To tak — pomyślał Echdo — Ma przepustkę.

— Już chciał odejść od okna, gdy nieoczekiwanie nieznanomy, gdy był już dostojnie dwa metry przed mundurowymi, skoczył w bok, prosto w drzwi budynku. Drzwi o tej porze powinny być zamknięte. Powinny! Ale nie były. Nim mundurowi zdążyli się zorientować, na chodniku pozostał ciemny kapelusz, który zsunął się z głowy nieznanego przy gwałtownym skoku. Jeden z mundurowych podniósł go i okręcał głupkowato na palcu. Z pewnością byli wściekli.

— O rany! — zakrzyknął się śmiechem Echdo Leis. — Jaki cwaniak. Tak ich wykiwać! Haa...

Młodzieńcy w telewizji wyli nadal. Znowu przełączył kanał. I znowu program rolnej. Poka-

zywali jakieś zwierzęta domowe, krowy i chyba te... no, jak im tam... świniaki. Br... Nie mógł na to patrzeć. Brzydki się zwierząt.

Nagle poczuł, że musi iść do toalety. Szlag by trafił! Ze też człowiekowi zachce się zawsze nie w porę. Wracając z pracy przechodził obok toalety, wcale nie było kolejki, a teraz pewnie... Ech...

Wyjął z szafki rolkę papieru toaletowego i wyszedł na klatkę schodową. Oczywiście! Raz, dwa... pięciu. Kwadrans czekania.

— Dzień Dobry! — przywitał go ostatni z kolejki; był to Aldi Pets, sąsiad spod numeru 3125.

— Dobry... — Jak tam? Co słychać? — Co ma być? W porządku — odrzekł Echdo.

— U mnie też świetnie, chociaż ciasno. Ale chwalebnie, nie powiem. — Aldi Pets mieszkał z żoną i dzieckiem prawie w takim samym mieszkanku jak Echdo — mały pokój i kuchnia. Ta kuchnia była, co prawda, trochę większa, ale i tak nie mogła do niej wejść od razu cała rodzina.

— Nie żeni się pan? — zapytał Pets.

— A po co? Żeby było ciasno? Tak mam tylko dla siebie całe mieszkanie. Razem z przedpokojem 14 metrów kwadratowych. Pełny luz, wiem, że żyję.

— Może ma pan rację — odparł sąsiad, niby obojętnie, ale Echdo wyczuł w jego głosie nutkę zazdrości. Biedak, miał niewiele ponad pięć metrów na osobę, a licząc tylko powierzchnię pokoju, trzy metry kwadratowe — Ale niech pan uważa, pewnemu mojemu koledze zabrał ostatnio mieszkanie, bo był samotny. Teraz mieszka w pokoju towarzyskim.

— Naprawdę? — przestraszył się Echdo Leis.

— Słowo daję, wykwaterował go. A mieszkał wygodnie, siedemnaście metrów kwadratowych.

— To mnie chyba nie rusza, mam trzy metry mniej...

— Nie wiem. Na pańskim miejscu bym się zastanowił. Lepsza żona i własne mieszkanie, niż pokój towarzyski.

Echdo w milczeniu pokłwał głową. Co tu robić? Ożenić się? Albo to tak łatwo znaleźć dziewczynę? Nie weźmie przecież pierwszej lepszej...

— Pan zobaczy! — Pets szturchnął go w ramię. — Zna pan tego faceta? — wskazał na jego gomościa wychodzącego właśnie z toalety.

— Z widzenia.

— To Wandz, kierownik programowania z Urzędu Miasta. Razem z żoną mieszkają na dwudziestu pięciu metrach kwadratowych.

— Wiadomo, kierownik... stwierdził Echdo. — Tacy zawsze żyją w pałacach.

— Bez przesady. Jak go złapią mundurowi, to i tak mu nie pomoże.

— Fakt. Kolejka znacznie się zmniejszyła. Już tylko jeden Pets dzielił go od drzwi. Jeszcze trzy cztery minuty i wejdzie do środka.

Tymczasem przestępował z nogi na nogę. Coraz szybciej.

Wezwanie przyszło zupełnie nieoczekiwanie. Było krótkie i lakoniczne, ale Echdo Leis i tak wszystko wiedział. Miał zgłosić się już jutro w Wartowni u oficera dyżurnego, w celu „... uzyskania dalszych informacji”. Dopisek na końcu: „Niestawienie się bez podania przyczyn i uprzedniego powiadomienia będzie karane wydalaniem z miasta” był niepotrzebny. Echdo już od dawna czekał na to wezwanie. Dostał podobne przed pięcioma laty, ale wtedy nie udało mu się wykazać. Tym bardziej więc liczył, że może teraz...

Następnego dnia zerwał się z łóżka bardzo wcześnie. Podniecenie i nastrój oczekiwania nie pozwoliły mu na długi sen. Poza tym musiał jeszcze zadzwonić do zakładu pracy i powiadomić o nieobecności, a rano łatwiej było się dodzwonić. W późniejszych godzinach linie były przeciążone, numery zajęte i poblokowane. Trzeba było mieć dużo szczęścia, aby szybko otrzymać połączenie.

Podczas golenia próbował przed lustrem wywołać na twarzy marsowy jej wyraz, to znów niedbały, trochę lekcewa-

żący uśmiech. Stał profil, wciągnął brzuch, usiłując wyobrazić sobie siebie w czarnym uniformie. W końcu, skoro będzie mundurowym, musi jakoś wyglądać.

Zjadł śniadanie, szczęśliwie dodzwonił się do pracy i nim się spostrzegł, była już siódma. W Wartowni miał się stawić dopiero o dziewięć, ale znajdowała się ona na drugim końcu miasta. Dotarcie tam zabierze mu zatem prawie godzinę. Zakładając, że na ulicy nie będzie zbyt wielu ludzi, tak czy owak miał jeszcze przynajmniej trzy kwadransy dla siebie.

Spędził je, rozmyślając nad tym, jak też mu się powiedzie. Będzie miał przedzieć cały miesiąc, aby udowodnić, że jest coś wart...

Tylko, że pięć lat temu też tak myślał, a skończył się na zwykłym powrocie do domu; bez profitur i satysfakcji. I tak dobrze, że nie wyciągnął żadnych konsekwencji, wiodącnie uznali, że się starał.

Próbował wyobrazić sobie siebie w akcji. Oto idzie ulicą, nie sam oczywiście, patrol są przynajmniej trzysobowy, idzie więc środkiem pustej jezdni,

bym idiotą, gdybym w powodu takiej drobnostki uciekał na wieś. Miasto to miasto. Władom! — Wcisnął się między ludzi, sprawnie odszukał grupkę podążającą w sprzyjającym kierunku, przyłączył się do nich i tym sposobem jakoś posuwał się naprzód. Nawet dosyć szybko. Szczęśliwie byli to sami mężczyźni, prawie wszyscy wysocy i dobrze zbudowani. Taka grupa to ma siłę przebicia, jak taran sunął do przodu rozgarniając na boki każdego, kto usiłował iść w przeciwną stronę. Przeszedł tak z nimi ponad połowę drogi, dalej musiał radzić sobie sam. Skreślił w boczny uliczek, tu już było luźno i spokojnie. Właściwie to na takich uliczkach powinni przywrócić przynajmniej ruch rowerowy. Zakaz komunikacji nawet dla przedmieść, rzeczywistość wyglądała na złośliwość władz.

Wreszcie dotarł do gmachu Wartowni. Odszukał oficera dyżurnego. Tamten odszukał jego nazwisko w grubym zeszycie, kazał podpisać, wydał kartę zaopatrzenia dla magazynu i skierowaniem przydzielił Echdo zadowoleniem stwierdził, że przydzielono go do siódmej kompanii. Tej, która patrolo-

wać zagubionego, ale pierwsze jego słowa świadczyły, że wcale taki nie był.

— Słuchajcie, petaki — powiedział do Echda i dwóch innych, których Echdo jeszcze nie znał — Będziecie robili tylko to co wam każę. Żadnych nie kontrolowanych posunięć i — przede wszystkim — żadnych objawów niezadowolenia. Jeżeli usłyszycie jakąś skargę, będzie źle, ale jeżeli ta skarga dojdzie gdzieś wyżej, to... — chwycił pierwszego z brzegu (pech chciał, że był to właśnie Echdo Leis) i z ławością, o jaką nikt go nie podejrzewał, przewrócił na ziemie. Zrobił to właściwie jednym ruchem.

— Rozumiemy się? — zapytał.

Ponieważ powstający z ziemi Echdo był o głowę wyższy od plutonowego, zatem taka demonstracja zrobiła wrażenie; nie dziwnego więc, iż wszyscy przytaknęli.

— Cieszę się. Poza tym chciałem wam oznajmić, że jeszcze żaden patrol pod moim dowództwem nie zawiodł. Miałem nawet wyniki, po osiem ujęć miesięcznie. Osiągnąłem to wyłącznie dzięki dyscyplinie

jeszcze nigdy w życiu nikogo nie złapał.

Echdo Leis spuścił oczy. Mimo że nie widział dowodcy, miał wrażenie, że tamten, mówiąc te słowa, patrzył właśnie na niego.

Echdo zamknął ostatnią walizkę usiadł na krześle i czekał. Odpędził, jak natrętna muchę, bzdurną myśl naczej, że może nie przyjadą. To było niemożliwe, przyjadą z pewnością.

Rozebrał się po pustym pokoju. Przeżył tu w spokoju wiele przyjemnych lat, a teraz musi się wynosić... Parszywy los. Zaklął głośno, aby stłumić wzbierające w nim uczucie smutku. Tak, to smutek, własnie smutek i brak optymizmu powodował ten stan psychicznego przybicia, objawiający się powolnymi, flegmatycznymi ruchami i falami żalu, wzbierającym od płuc, poprzez gardło, do oczu, które nie łzawiły wprawdzie, ale szklily się od wilgoci. Musi opuścić nie tylko swoje mieszkanie, ale i miasto. Westchnął głośno. Z kieszeni marynarki wyciągnął papier oklejony pieczętkami Urzędu Miasta, Służby Miejskiej i sądu.

„Wyrok — czytał chyba po raz piąty. — Obywatel Echdo Leis s. Teodora, ur... oskarżony o to, że w dniu... pełniąc służbę w patrolu Służby Miejskiej nie dopełnił obowiązków służbowych, wypuszczając poruszającego się bez przepustki podczas domowej godziny, obywatela Aldi Petsa, co mogło spowodować nieujęcie w/w ob., zostaje uznany winnym zarzucanemu mu czynu. Ponieważ oskarżony, ob Echdo Leis kierownik służby, wyraża zgodę na wyłączenie się z pracy w rolnictwie. Wyrok jest prawomocny i odwołanie od niego nie przysługuje”.

Dalej następowała seria pieczętek i podpisów, podkreślających urzędowy charakter pisma. Echdo znowu westchnął. „...Nie dopełnił obowiązków służbowych”, a co miał robić, jak Pets błagał go o prawie na kolanach, powołując się na żonę i dziecko. Cholera! Tak się cieszył, że trafił do patrolu blisko miejsca zamieszkania. Co za złośliwość losu: gdzie indziej pewnie by mu się to nie zdarzyło. W dodatku — jak na ironię — tamci dwaj z jego patrolu i tak złapali Petsa. Wszystko się wydało i poszło na marne.

Nawet przestępstwa nie potrafisz dobrze popełnić — wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Na ulicy zapiszczały hamulce. Przyjechali. Nie musiał nawet wyglądać przez okno, obowiązywał przecież zakaz ruchu, skoro jednak coś przyjechało, mógł to być tylko samochód z Urzędu Miasta. Mimo to wyjrzał. Zobaczył autobus i kryta bagażówkę. Z autokaru wyskoczyło dwóch facetów, podbiegli do bloku i zniknęli pod daszkiem wejścia. Minutę później usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył.

— Dzień Dobry! — przywitał się grzecznie. — Pan Echdo Leis, prawda?

— Tak — odrzekł chłodno. — Tam są moje bagaże — Przynajmniej to mu przysługiwało. Zgodnie z przepisami obowiązek przeprowadzki spadał na Urząd Miasta. Chwycili walizki i razem wzięli na klatkę schodową. Mineli ubranego w czarny mundur pracownika Służby Miejskiej. Stał tu przez cały czas na warcie; pilnował, żeby Echdo nie uciekł. Śmiechu warte! Ciekawe gdzie był miał uciekać? Kto by przyjął do siebie faceta wydalonego z miasta, skoro groził za to taki sam wyrok? Echdo nie tudził się, ucieczka była nonsensem... — Panie Leis! — krzyknął za nim mundurowy. — Proszę poczekać. Niech pan łaskawie podpíše, że opuszcza pan mieszkanie — machnął przed nim jakimś papierkiem.

— Odczep się — odparł krótko Echdo.

— Ale... ja muszę... — zaczął tamten błazniwie.

Echdo zatrzymał się. Właściwie, to niepotrzebnie się ścieka. Pewnie to taki chłopak, co to wzięło go z poboru na miesięczną służbę i chce czy nie chce, musi wykonywać swoje obowiązki.

— Dawaj — powiedział ja-

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

Mieszczuch

wokół bezruch i cisza; nagle u wylotu najbliższej przecznicy pojawia się spóźniony przechodzień. Rzuci się do ucieczki, a oni biegają za nim. Dwaj mundurowi ślabiną, zostają z tyłu, tylko jeden zbliża się do uciekającego. Ten jeden to on, Echdo Leis. Dogania wreszcie tego człowieka i obezwładnia. Gdy nadbiegają tamci dwaj, jest już po wszystkim — cała zastęga przypada dla Echda, Virginia!

Nim się spostrzegł, była prawie osma. Trzeba iść.

Na ulicy tłok był potworny. Tłumy przechodniów przepychały się na wszystkie strony, miało się wrażenie, że każdy idzie w przeciwnym kierunku niż pozostałi. Dopóki sprawne były oba ruchome pasy jezdni, rozładowały one trochę sytuację, lecz już od trzech tygodni coś uległo awarii i stąd ten ścis. Zapowiedziano naprawę, lecz jak dotychczas nie się nie działo. Pewnie specjalnie przedłużali termin, aby obrzydzić ludziom życie w mieście.

— Tym mnie stąd nie wygonią — pomyślał Echdo. — By-

wała sąsiadnie osiedle, zaledwie kilkaset metrów od jego bloku. Jak się orientował, był to rzadki przypadek, przeważnie każdy dostawał przydział daleko od miejsca zamieszkania. Chciano w ten sposób uniknąć ewentualnych przypadków spotkania — podczas pełnienia obowiązków służbowych — znających osób.

Zauważył plakat na ścianie: „UWAGA”. Od 1 września premia 5000 plus atrakcyjne nagrody rzeczowe dla wyjeżdżających dobrowolnie do pracy w rolnictwie. Małżeństwa z dziećmi premiovane podwójnie. Nie przepag swojej szansy i zgłoś się już dzisiaj!”

— Tak... już lecę — mruknął ironicznie Echdo Leis.

Podążył w kierunku magazynu. Musiał pobrać mundur i obuwie. A potem już patrol.

Dowódcą patrolu był niski, niepozorny mężczyzna, wojskowy w stopniu plutonowego. Wyglądał na nieśmiałego i tro-



Rys. Krzysztof Dzikowski

godniej. Mundurowy skwapliwie podsunął karteczkę.

Podpisał, skinął na tragarzy i weszli do windy. Bezgłośnie zjechali w dół. Gdy wyszli z bloku, zauważył sąsiadów zerkających ciekawie przez okna.

— Patrzcie się, patrzcie — mruknął. — Być może jutro przyjdzie wasza kolej.

Opadał stają trzech mundurowych z patrołu. Była domowa godzina i obecność na ulicy ludzi, a tym bardziej pojazdu mechanicznego, wzbudziła ich zainteresowanie.

Echdo postawił walizki przed bagażówką i nie troszcząc się o ich załadowanie, ruszył w kierunku autokaru. Był to niewielki, piętnastoosobowy pojazd o napędzie elektrycznym. Wszedł do środka. Pasażerów było niewielu, może dziesięciu. Usiadł na najbliższym wolnym miejscu, obok blondynki o krótkich, prostych włosach.

— Dzień Dobry! — z zakłopotaniem ukłonił się po dłuższej chwili, zauważając, że sąsiadka przyglądała mu się ciekawie.

— Czy wolne? — zapytał wskazując na siedzenie. Chrzęknął. Głupio wyszło, bo przecież już siedział.

— Tak, proszę bardzo. Zresztą, ktoś miałby tu siedzieć, nie jesteśmy w teatrze...

No taki Wypadł jeszcze głupiej. Autobus ruszył. Po drodze zajechali po jakiejś starsze małżeństwo. Ona poplukiwała z cicha, on ją pocieszał.

Kierowca żwawo jechał pustymi ulicami, nie musiał nawet uważać na ludzi — była przecież domowa godzina. Ostatnia domowa godzina, która mogła Echda obchodzić. Z życiem na wsi wiązał się przynajmniej jeden plus, po pracy mógł chodzić gdzie chce i — co najważniejsze — o której chce. Zeby tylko robota była lżejsza; no i przyjemniejsza. Niewiele wiedział o pracy w rolnictwie, ale gdy przypomniał sobie zwierzęta gospodarskie, ogarniał go wstępnik.

Akurat wyjechali z miasta, gdy z blondynką obok zaczęło dziać się coś niedobrego. Zbladła i oddychała niespokojnie.

— Złe się pani czuje? — zapytał ostrożnie.

Skrzywiła się i skinęła głową. Włosy spadły jej na twarz odsłaniając ucho i szyję.

— To ta jazda — powiedziała wolno. — Od lat nie jeździłam żadnym samochodem...

Wstał i uchylił lufecik. Z tyłu jakiś chłopczyk popijał z butelki coca-cola. Jego opiekunka drzemała.

— Ciii!... — przyłożył palec do ust, mruknął porozumiewawczo i zabrał dziecku butelkę. Malec nie wydał nawet głosu, otworzył tylko szeroko usta i ze zdumieniem przypatrywał się Echdowi, który podał napój dziewczynie.

— Dziękuję — powiedziała z wdzięcznością i wypila kilka łyków.

Gdy Echdo oddawał chłopcu prawie pustą butelkę, tamten nadal miał otwarte usta i wyraz zdziwienia na twarzy.

— Zamknij buzię, bo ci mucha wleci — powiedział do niego i odwrócił się. — Zabawny szczeniak — pomyślał.

— Lepiej już? — zwrócił się do dziewczyny.

— O tak... przepraszam za kłopot — odparła.

— Nie ma o czym mówić. Doskonale panią rozumiem, mnie też zakręciło się trochę w głowie od tej jazdy — skłamał sam nie wiedząc dlaczego. Dziewczyna nie podjęła rozmowy. Dalej jechali w milczeniu.

Podróż była długa. Osiem godzin z krótką przerwą na koloację. Trudno było zrozumieć, dlaczego wywoła ich tak daleko; mijali po drodze wiele terenów rolniczych, nigdzie jednak nie zatrzymali się. Wreszcie kierowca oznajmił, że przyjechali. Było ciemno, środek nocy. W dodatku mżył ostry, szargany wiatrem deszcz.

— Cholerna wieś! — zaklął Echdo, gdy wprost z autokaru wyskoczył w błotnista kałużę. Podniósł na sztorc kołnierzyk marynarki i uniósłszy w górę ramiona schował szyję przed deszczem. Znowu poczuł rozgorzenie i smutek. Teraz siedział przy sobie spokojnie przed ekranem telewizyjnym i miałby w nosie brzydką pogodę. Ech...

W świetle reflektorów i lamp szajowych zauważył, że bagażówka jest już na miejscu. Pewnie wyprzedziła ich po drodze.

Jakiś facet w ciemnym płaszczu podszedł do niego.

— Czy pan Echdo Lels? — zapytał.

Przytaknął. — Jestem Arent Bosso — Echdo uściśnął podaną mu dłoń. Była silna i szorstka. — Kilka kilometrów stąd mam gospodarstwo. Przez pewien czas będzie pan u mnie mieszkał.

— Gdzieś muszę, mogę i w pańskiej stodole.

— Jakiej stodole? — zdumiał się Bosso. — Mam piękny dom...

— Wszystko jedno, jak pan chce, mogę nazwać tę szopę domem.

— Przecież weale go pan nie widział?!

— Ale mogę sobie wyobrazić. Myśli pan, że wierzę w te reklamy telewizyjne?

— Panie, co pan?! Jakże reklamy? O co chodzi?

— O co? Żebym wiedział... Zresztą, zostawmy to — Echdo machnął ręką. Taka rozmowa do niczego nie prowadziła.

Zauważył, że pozostali przybyły z miasta również mają swoich opiekunów. Nawet miły akcent, tego się nie spodziewał. Może nie będzie tak źle. Właściwie niepotrzebnie był taki nieuprzejmy. Facet jest przecież Bogu ducha winien, ale musiał się wyładować.

— Gdzie jest Elwa Lendbergh? — zapytał niespodziewanie Bosso.

— Proszę? — zdziwił się Echdo.

— Pytam o panią Lendbergh. Też będzie u mnie mieszkała.

— Nie wiem, nie znam — Leis wrzucił ramionami. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale przeszkodził mu żeński głos dobiegający z tyłu.

— Przepraszam, wydawało mi się, że ktoś wymienił moje nazwisko? — blondynka, która wyłoniła się z ciemności, była sąsiadką Echda z autokaru.

— Ach, to pani? Fajnie! — ucieszył się. Zły humor momentalnie gdzieś przysnął.

— Dlaczego tak fajnie? — roześmiała się.

— Będziemy razem mieszkać. To nasz gospodarz, pan Arent.

Bosso spojrzął na niego nieufnie. Z niedowierzaniem przyjął tę nagłą zmianę usposobienia.

— W takim razie chodźmy — powiedział wreszcie. — Jesteśmy w komplecie.

zał drzwi — a to pański.

Echdo wszedł do środka. „Tymczasowy pokój” miał z szesnastu metrów kwadratów. To przecież więcej niż jego dawne mieszkanie.

— „W takim razie na górę będę miał do dyspozycji...” — aż zakręciło mu się w głowie.

Rozpakował właśnie walizkę z najpotrzebniejszymi rzeczami, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył. W progu stała Elwa.

— Można?

— Bardzo proszę — podsunął jej krzesło.

Uzmysłował sobie, że dziewczyna przecież nawet nie wie, jak on się nazywa. Przedstawił się. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć dalej, zaczął więc układać rzeczy na półkach. Nagle spostrzegł, że to przecież nieakt i szybko zamknął szafkę.

— Zająrzałam — przerwała milczenie dziewczyna — aby zapytać, co pan na to?

— To znaczy na co?

— No tak, w ogóle... na to wszystko.

— Przyznaję, że ten komfort początkowo ośmiewa, ale nie zapominał, że jesteśmy na wsi. Jutro się okaże, w jakim bagno trafiliśmy.

— Bagny? Przesadza pan chyba...

Wrzucił ramionami. Chciał być miły, ale Elwa poruszyła tematy, które go drażniły.

— Właściwie, jak pan tu trafił? — zapytała.

— Strasznie głupia historia, szkoda gadać. A pani?

— Sama się zgłosiłam. Po rozwodzie z mężem nie widziałam dla siebie żadnej przyszłości w mieście.

Aż otworzył usta ze zdumienia. Sama się zgłosiła? Co to za kobieta? Wariatka. Wiele rzeczy mógł zrozumieć, ale żeby samemu się zgłosić?!

Spostrzegł, że Elwa się śmieje.

— Wygląda pan teraz zupełnie, jak ten chłopczyk z autokaru — powiedziała wesoło.

Ochłonął. Również uśmiechnął się.

— Ten, któremu zabrałem coca-cole?

Skinięła głową. Oboje głośno się roześmiali. Nagle Echdo zrozumiał, dlaczego tak dobrze czuje się w towarzystwie Elwy — była śliczną dziewczyną.

Wreszcie ukazały się pierwsze miejskie zabudowania. Echdo i Elwa Lelsowie ciekawie spoglądali przez zmatowiałą szybę autobusu.

Wrócili.

Nie był to powrót w rodzinne strony, na to nigdy nie uzyskali by zezwolenia, ale czuli się tak, jak gdyby wrócili — jechali przecież do miasta. To Echdo tak zdecydował.

— Pięć lat harówki — mówił — wystarczy. Chcę wreszcie żyć normalnie.

Tak, to już tyle czasu minęło od chwili, gdy się poznali. Pięć długich lat. Długich dla Echda, bo Elwa polubiła wieś. Uległa jednak woli męża, który zawsze tęsknił za miastem. A wydawało się już, że powoli przyzwyczaja się do zawodu rolnika; polubił nawet zwierzęta, których początkowo tak nie cierpiał. Elwa przypominała sobie, jak kiedyś — zaraz na początku, nie był jeszcze wtedy małżeństwem i nie mieli własnego gospodarstwa — przybiegli do niej opowiadając, jak fajnie wyglądają krowy jedzące siano. Stał czasem kilkanaście minut i patrzył na spożywające pokarm zwierzęta; lekko uśmiechnięty, z zadowoleniem mrucał wtedy coś do siebie. Myślała już, że polubił wiejskie życie, lecz tak się nie stało. Gdy tylko pojawiła się możliwość przeprowadzki do miasta, natychmiast z tego skorzystał. Było to postępowanie typowe. Wielu znajomych rolników, miejskich przybyszów, w końcu do miasta powracało.

To nic, że w mieście domowa godzina obecnie obowiązywała już od dziesiątej do szóstej rano. To nic, że musieli sprzedać samochód bo w mieście nie wolno nim jeździć. To nic, że zmniejszono jeszcze bardziej dopuszczalny metraż mieszkania przypadający na osobę.

Wrócili.

Bo wiadomo, Miasto to miasto!

W tym tygodniu w klubie trwały Dni Hobbisty i Malcolm właśnie prezentował swoją kolekcję znaczków. Proszę spojrzeć na te trójki — mówił. — Ich wartość nie jest ściśle określona, bo nigdy dotąd nie były wystawiane na sprzedaż. Jest to najcenniejsza i najbardziej interesująca seria znana filatelistom. Są...

Miałem kiedyś serię jeszcze cenniejszą i bardziej interesującą — przerwał mu ponurym głosem Murchison Morks. Morks jest niskim, szczupłym mężczyzną, który zazwyczaj siedzi przy kominku i patrzy z zadumą na pioną polana. Myślę, że Morks niezbyt lubi Malcolma, naszego jedynego milionera, który zawsze musi wszystko mieć lepsze od innych.

„Masz serię cenniejszą od mojej?” — zapytał z niedowierzaniem Malcolm i aż poczerwieniał ze złości.

„Nie, nie mam”. Morks potrząsnął głową i spokojnie powiedział: „Miałem”.

„Och” — parsknął Malcolm — „Przyuszczam, że zostały skradzione albo może się spaliły?”

„Nie” — westchnął Morks. — „Wysłałem je. To znaczy, nakleilem na list zanim odkryłem ich niewykryłość”.

Malcolm przygryzł wargi. „Ta seria znaczków — powiedział z przekonaniem, kładąc rękę na szkło pod którym leżała kolekcja trójek — kosztowała co najmniej jedno ludzkie życie”.

„Moja” — odpowiedział Morks — „kosztowała mnie mojego najlepszego przyjaciela”.

ROBERT ARTHUR

Przesyłka do raju

„Kosztowała życie twojego przyjaciela?” — zajął wyjątkiem Malcolm.

Morks potrząsnął z smutkiem głową. Jakby jeszcze raz przeżywał to, co gnębiło go od dawna.

„Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Mówiąc szczerze, myślę że Harry Norris — tak nazywał się mój przyjaciel — jest teraz dziesięć razy szczęśliwszy od każdego z nas. I kiedy myślę o tym, to gdyby nie mój strach, mógłbym i teraz być razem z nim...”

„Ale lepiej opowiedz nam całą tę historię — rzekł z ożywieniem — bo inaczej nie nie zrozumieć”.

Sam nie jestem filatelista, ale był nim mój ojciec. Zmarł wiele lat temu i wśród innych rzeczy pozostawił mi zbiór swoich znaczków.

Nie było to nic szczególnie cennego. Zbierał znaczki dla ich urody, a nie ze względu na cenę. Więc kiedy sprzedałem je uzyskałem niewiele więcej niż wartość koperty z ich sprzedażą.

Nawet przez chwilę myślałem, żeby je zatrzymać, przynajmniej te najładniejsze, z tropikalnych krajów, przedstawiające egzotyczne ptaki i zwierzęta.

W końcu sprzedałem je wszystkie, z wyjątkiem serii pięciu znaczków, których nie przyjąłem w sklepie filatelistycznym, twierdząc, że były fałszywe.

Fałszywe! Gdyby się domyślał prawdy, ale oczywiście uwierzyłem im. Uznałem, że znają się na tym lepiej niż ja. Poza tym, plątka różniła się bardzo od pozostałych i nie była umieszczona w albumie, tylko włożona do koperty wetkniętej pod okładkę.

Niezależnie od tego czy były prawdziwe czy nie, były po prostu ładne. Miały różne nominale: dziesięć i pięćdziesiąt centów, dolar, trzy i pięć dolarów. Wszystkie wyglądały jak nowe. Były szarej całej gamy kolorów: cynober i ultramaryna, szmaragd i żółć, pomarańcz i błękit, brąz i kość słoniowa, czern i złoto.

A ponieważ były duże — co najmniej cztery razy większe od normalnych znaczków lotniczych — sceny które przedstawiały były bardzo realistyczne i wyraźne.

Szczególnie znaczek trzydolarowy, przedstawiający jakąś tubylczą dziewczynę z patrzka na głowie...

Ale wybiegam naprzód. Na razie, myśląc że są fałszywe, wsadziłem je do szuflady i zapomniałem o nich.

Znalazłem je całkiem przypadkowo, kiedy którejś nocy grzebałem w szufladzie szukając koperty, żeby wysłać list do mojego przyjaciela Harrego Norrisa. Harry mieszkał wtedy w Bostonie.

Nie znalazłem żadnej koperty, oprócz tej, w której trzymałem te znaczki po ojcu. Wyjąłem je więc, zaadresowałem kopertę, wsadziłem list i wtedy zwróciłem uwagę na znaczki.

Jak już mówiłem, były duże, prostokątne, wielkości raczej większych bagażowych niż normalnego znaczka. Ale nie, były przecież normalnymi znaczkami.

Na samej górze tłustym drukiem, biegł napis: FEDERACJA STANÓW EL DORADO. Niżej, po obu stronach cena. A na dole jeszcze jeden napis: POCZTA BŁYSKAWICZNA.

Nie znając się na tym pomyślałem, że El Dorado było jednym z tych małych państw w Azji albo gdzieś w Ameryce Środkowej; a Poczta Błyskawiczna to pewnie lokalny odpowiednik naszej Poczty Lotniczej.

Ponieważ cena była w centach i dolarach, skłonny byłem przypuszczać, że to raczej jakiś kraj w Ameryce Środkowej niż w Azji. Jest tam tyle małych państw, które ciągle mi się mylą np. San Salvador i Kolumbia. Ale nie zastanawiałem się wówczas nad tym.

Przyglądając się im uważnie zacząłem się zastanawiać, czy w sklepie filatelistycznym naprawdę znalazł się na znaczkach. Były wykonane doskonale. Rysunek był pełen życia, kolory śmiały i atrakcyjne i wyglądało na to, że niemożliwe jest zrobienie tak doskonałych fałszyków.

Chociaż to co przedstawiały wyglądało nieco dziwnie. Na przykład dziesięciocentówka przedstawiała jednorozca z umieszonym tłem, rogami zakrzywionym ku niebu i opadającą grzywą. Wspaniały okaz.

Patrząc na te znaczki nie można było wątpić ani przez chwilę, że artysta malował mając żywy model przed oczyma. Z wyjątkiem tego, że jednorozce dawno wyginęły.

Znaczek pięćdziesięciocentowy ukazywał Neptuna powożącemu zaprzęgiem delfinów przez wzburzone fale. W wyciągniętej ręce trzymał trójząb. Rysunek miał w sobie mnóstwo życia, tak jak poprzedni.

Dolarowy znaczek przedstawiał greckiego bożka Pana, grającego na fujarce przed świątynią wokół której tańczyły fauny. Patrząc na niego niemal słyszałem melodię którą grał.

Nie przesadzałem ani trochę. Muszę przyznać, że byłem zdziwiony, że jakiś tropikalny kraj umieszcza Pana na znaczku. Uważałem to dotąd za domenę Greków. Ale kiedy zabrałem się za kolejny znaczek, trzydolarowy, zapomniałem o swoich wątpliwościach.

Nie umiem opisać jakie wrażenie wywarł na mnie i na Harrym.

Centralną postacią była dziewczyna, chyba już to mówiłem. Lokalna piękność na tle tropikalnych kwiatów. Dziewczyna lat około szesnastu, roz-

kwitająca w dojrzałą kobietę. Uśmiechała się nieco tajemniczo, w sposób znamionujący niewinność podlotka, ale też i mądrość dojrzałej kobiety.

Nie wiem czy mnie rozumiecie, ale mniejsza o to. Nic na to nie poradzę. Dodam tylko, że na głowie niosła paterę pełną owoców wszelkiego rodzaju i że ta patera wraz z kwiatami na jej stopach była wszystkim, co miała na sobie.

Przyglądałem się jej długo, zanim wziąłem ostatni znaczek wartości pięciu dolarów.

Był najmniej interesujący. Przedstawiał mapę kilku wysp położonych na morzu o nazwie El Dorado. Pomyślałem, że są to wyspy stanowiące Federację Stanów El Dorado, i że małe kopieki na największej z nich, podpisane Nirvana, są stolicą kraju.

Wtedy wpadłem na ten pomysł. Harry miał kuzyna, który zbierał znaczki. Żeby zrobić mu przyjemność, mógłbym nalepić jeden z tych fałszywych znaczków — jeśli były fałszywe — na list do Harrego, razem z znaczkiem obiegowym i wysłać to pocztą. W ten sposób kuzyn Harrego otrzymałby unikalny znaczek: zagraniczny, ale z amerykańskim stemplem.

To był głupi pomysł, ale znalazienie znaczków sprawiło mi w dobry humor. Nakleilem dziesięciocentowy znaczek El Dorado na list do Harrego i poszedłem po drugi. W kieszeni piąszcza, w szpitalni, miałem portfel w którym znalazłem potrzebny znaczek. Przed wyjściem położyłem list na biurku.

Kiedy wróciłem do gabinetu list zniknął, nigdzie go nie było. Nie muszę mówić, że byłem zdziwiony. Nikt przecież nie mógł go zabrać. Wprawdzie okno było otwarte, ale mieszkałem na dwudziestym piętrze, więc nikt nie mógł wejść.

Nie było też przeciągu, który mógłby zwać list z biurka. Szukałem na podłodze, zaglądałem wszędzie, ale znikł bez śladu.

Byłem już mocno zirytowany, kiedy zadzwonił telefon. Drzwonił Harry Norris z Bostonu. Jego głos brzmiał nieco sztucznie, ale szybko zrozumiałem dlaczego.

Trzy minuty temu, kiedy szykowałem się do spania list z którego poszukiwałem właśnie zrezygnowałem, wleciał przez okno, zawisł na chwilę w powietrzu, a potem opadł na podłogę.

Następnego dnia Harry przyjechał do Nowego Yorku. Przez telefon opowiedziałem mu wszystko o znaczkach El Dorado i obiecałem, że do jego przyjazdu odłożę je w bezpieczne miejsce.

Jasne było, że znaczek spowodował to, co się stało. W jakiś sposób przenosił list z mojego gabinetu wprost do stóp Harrego Norrisa w czasie około trzech minut, to znaczy z szybkością około 6000 km/godz. Było to zdumiewające.

Harry przyjechał akurat w porze obiadowej więc w czasie posiłku opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem to samo co wam przed chwilą. Był rozczarowany szczupłością moich informacji. Ale nie mogłem dodać już nic, więc cej do tego co już wiedzieliśmy. A to mówiło samo za siebie.

Fakty ograniczały się właściwie do tego, że nakleilem znaczek z El Dorado na list, który błyskawicznie dostarczył się do Harrego, bez czegokolwiek udziału.

„No nie całkiem — przerwał Harry — Spójrz! Mam go ze sobą. L.”

Wręczył mi list i zobaczyłem, że byłem w błędzie. List musiał przejść przez czyjeś ręce bo znaczek był ostemplowany. Tak na kopercie był stempel, wyraźny, zrobiony bładoperlowym tuszem.

c.d.n.

Tłumaczyła:
ANNA ZASTAWNIK

Wtedy, kiedy „Dziennik” pisał o sprawie — a było to w marcu 1971 — pani Barbara Brzozowska miała 55 lat. Minęło jedenaście lat, nie zestarzała się ani sprawa, ani pani Brzozowska, jeśli lata mierzyć będziemy nie kalendarzem, a tym czymś trudnym do nazwania, co sprawia, że pani Barbara jest młodsza, aniżeli niejedna osoba urodzona grubo po wojnie...

A rzecz wygląda w bardzo dużym skrócie tak: p. Brzozowska postanowiła — działając w grupie podobnych osób, wybudować zespół niewielkich, parterowych, tanich domków, w których oprócz właściciela znalazłby schronienie na schorowaną i niesprawną starość ludzkiej samotni, ci których kwalifikuje się na ogół (a często bez skutku, bo brak miejsc) do domów opieki. By nie było wątpliwości — pani Brzozowska nie jest milionerką, milionerami nie są także i ludzie, którymi się otoczyła. Jest emerytowaną rzemieślniczką — wyrób sztucznych kwiatów.

Artykuł w „Dzienniku” (z 1971 r.) opisuje projekt takiego osiedla — dość duży parterowy pawilon przeznaczony na wspólną jadalnię, kuchnię, świetlicę, połączony przykrytymi przejściami z kilkoma domkami. W domkach tych mieszkaliby i podopieczni i właściciele domków. Zyciem tej małej zbiorowości kierowałby samorząd. Chodziłoby nie tylko o kierowanie, ale również odpowiednio rozłożenie zajęć i oczywiście wykonywanie ich. Osiedle sześcioletniej „Jesieni” pisał „DL” nie powtarzałoby więc stylu hotelowego czy pensjonatowego, jaki panuje w państwowych domach dla rencistów, lecz proponuje formę zbliżoną do stosunków w dużej samowystarczalnej rodzinie.

Kolega mój pisze przed jedenaście laty dalej: „Fundusze na ten cel chcą podczas pięciu lat samą wypracować przed emeryturą członkowie grupy p. Brzozowskiej”. Były tam pomysły przeróżne, ale wszystkie realne — hodowla królików, pszczoły, warzywa, piekarniki. „Po pięciu latach budowy gmachu głównego, oczywiście systemem gospodarczym, pod kierownictwem własnych znajdujących się w grupie fachowców, więc oczywiście taniej”

Właściciele domków — dwupokojowych — jeden większy ponad 30 m² dla właściciela, drugi mniejszy — powyżej 20 m² dla pensjonariusza — mieszkaliby tam, żyjąc z renty i z tego, co wyprodukowałby na działkach. Przebywanie w domkach pensjonariuszy nie łączyłoby się z filantropią. Są to ludzie, którzy przeważnie mają renty przeciętne. Byłoby to dobroczynność i chyba jeszcze więcej niż obecne, trzy s — przekonywuje mnie pani Barbara.

Pokoje w domkach łączyłoby okno, którym można byłoby zajrzeć, czy sąsiedzi nie zasłabli, czy nie potrzebują pomocy. Czasem wystarczy uśmiech, słowo, cudza obecność czasami lekarz a czasami czarna robota przy ciężko chorym, nieprzytomnym, nie panującym nad odruchami fizjologicznymi. Nie wykonywałby jej właściciel domku, ale osoba wynajęta w tym celu. Jeżeli kilkanaście osób złoży się po kilkaset złotych to jest to niezła pensja dla sprzątaczk.

Ja oczywiście wszystko streszciałam. Niemniej w ciągu dwóch czterogodzinnych rozmów z panią Brzozowską zdołałam zadać kilkadziesiąt pytań. Bardzo przyziemnych i brutalnych. Kto, za ile, czy pani wie, ile to kosztuje, po co to pani rob?

Całe życie mieszkała w mieście, pragnie na emeryturze mieszkać na wsi. Nie jest w swoich marzeniach odosobloną. Po co to robi? Pytam podobno jak jej własne dzieci, które patrząc przez palce na wszystko co robi, pytają nie mniej: czy mama ma tak źle dzieć, że chce sama najprzód się kimś opiekować a potem z opiekunki stać się podopieczną? Z dala od nas? Wcale nie chce z dala od nich, ale wie, co to jest ciężar opieki nad kimś niedołężnym dla jednej czy dwóch osób. Sama to przed laty przeżyła. A w zespole nie będą sami niedołężni, będą ludzie w różnym wieku, można więc rzeczy zrobić wspólnymi siłami, a przy okazji zostawić dzieciom mieszkanie w przedłużonym mieście.

Wybiegłam za daleko w przyszłość. Bo pomiędzy artykułem a niejszym a tym sprzed lat był kawał czasu, kawał życia. W tym czasie gdyby stało się tak, jak wszyscy pani Barbarze życzyli, mielibyśmy dziś w Beldowie pod Łodzią ośrodek niecodzienny, dla ludzi starszych, coś obłądnego i wyjątkowego zarazem.

A trzeba przyznać, że z kimkolwiek nasza pani nie rozmawiała wszędzie były tylko wyrazy szczerzej sympatii i gorącej życzenia, by się to udało... No bo trudności, nikt chyba

ny sposób pomocy starszym. Nie ma miejsca dla filantropii prywatnej. Nieistniejącemu więc formalnie zespołowi nie można sprzedać, czy wydzierżawić działki.

Pani Barbara trafiła wszędzie. Spokojna, rzeczowa, nie natrętna bynajmniej, ale w sposób kulturalny uparta. Czytamy obie mnóstwo listów i opinii na temat tej inicjatywy podpisanych znanymi od lat i szanowanymi nazwiskami.

Posel na Sejm, który także życzył wszystkiego najlepszego a nie mógł przeskoczyć opinii

ma się swojej idei. Reszta powiedziała po latach — a po licho nam takie szarpanie się, skoro nie chcą naszych dobrych chęci i uważają, że jesteśmy tylko letnikami to pozostawmy nimi...

Pani Barbara, jeżdżąc po kraju, szukając zrozumienia i protekcji, postanowiła jednak udowodnić, że można mimo wszystko doprowadzić do realizacji swego celu, a jest nim pomoc bliźnim. Obok jej domku jest coś w rodzaju małej świetlicy. Zamieszkały w niej na jej zaproszenie dwie panie

Inaczej, będzie mądrzejsza, bo nie ma zamiaru zrezygnować z opieki, mimo że Marysia zdecydowała jej dom. Już teraz wie, nie ma wprawdzie przygotowania lekarskiego, ale wie jak, i przecież w zespole będzie jedna pani doktor przed rentą, już się zgłosiła...

Oglądamy z panią Barbarą zaświadczenia lekarskie o wspaniałych wynikach osiągniętych przez nią w opiece nad obłema chorymi. Druga chora, Irenka, która teraz mieszka w domu z łóżkami i podłogami i palmami w hallu

tem wszystkim utknęło. Pani Barbara była nawet u pani Gerkowej. Też się wzruszyła, obiecała, a potem nie odpisała...

W czasie odnowy pani Barbara — opiekując się jednocześnie dwiema wyżej wymienionymi paniami ruszyła do ponownego ataku. Przepisy okazały się być te same, równie żywotne i twarde, nie do przekroczenia. Ludzie może serdeczniejsi. Zabiegów pani Barbara nie przerwał nawet stan wojenny. Gdzie to pani nie trafiła wówczas, nie powiem, że do Generata, ale prawie.

Trafiła również do KE (82 r.) — do Jacka Kazmierczaka z-cy kierownika wydz. budownictwa — 36 lat — nie myśli więc kategoriami typu: ja bym tak chciał na starość właśnie, bo o starości swojej chyba nigdy nie pomyślał. Nie tylko obiecał, ale pojechał do Beldowa, zachwycił się i postanowił, że zrobi wszystko, co będzie mógł...

Od tego czasu pani B. ma propozycje lokalizacyjne. Nie może wprawdzie zespołu zarejestrować pod jego prawdziwym mianem, więc ktoś inny doradził, by to uczynić jako zespół budowy domków spółdzielczych. Statut jest przed rejestracją. I wszystko jeszcze przed nią, panią Barbarą, widzącą jasno już z góry ewentualne przeszkody, ale nie rezygnującą.

Pani Barbara nie przyszła do redakcji prosić o interwencję. Bynajmniej. Pomyślała sobie, że dobrze byłoby, jak wszystko się wreszcie uda przystosować do naszych przepisów, dać ogłoszenie, że przyjmie członków do swego zespołu, szczególnie rzemieślników takich przed emeryturą, którym miasto dopiekle, którzy by sami wybudowali, albo przynajmniej pokierowali robotą. Oczywiście część członków już ma.

A ja słucham tego wszystkiego i myślę, że jest to wszystko błędne i ciągle wtrącam swoje. Czy pani wie ile teraz kosztuje domek? Wie oczywiście, ale wie swoje, że w wiatrolomach gnije drewno na przykład, że samemu można taniej. Ja znowu, że nie jestem taka stara, ale nie dalekim bądym nosić wapna, czy wylewać pustaki na dłuższą metę. Ona, że widocznie jest m niezbyt zdrowa, ale sama widziała panie przed emeryturą, które pięknie to robiły. Ja, że skąd wie, czy w tym gronie nie znajdź się kilku cwaniaków, którzy dzięki wydeptanym przez nią ścieżkom wybudują sobie domki, a opiekować się starszymi nie zechcą? Ona, że przecież mają staty, że takiego się wykluczy, a jego własność odkupi. Ja, czy pani Barbara w to wierzy, że tak można będzie? Ona — że naturalnie.

— Kiedy w 1971 byłam w KC to kilku panów zaczęło mnie tak wypytywać jak pani teraz... przez kilka godzin.

Widocznie przekonała, bo jeden z nich zadzwonił do Łodzi, — chodziło o działkę — i powiedział, załatwicie, bo to będzie taki dom, w jakim sam chciałbym mieszkać. No i wyszła ta działka letniskowa. Po-

Powiedziałam, że pani Barbara jest dużo młodsza ode mnie, bo mnie trudno uwierzyć, nie w ludzką bezinteresowność, bo w to akurat wierzę, ale w to, że w naszym biurokratyzowanym kraju może zakwitnąć coś takiego wyjątkowego jak właśnie ta inicjatywa. Pani Barbara na to, że ludzie sprzedawali całe majątki, by się walczyć o boku Napoleona, o Polskę inni walczyli w partii i zarabiali na Sybir, to czym to jest w porównaniu z marnym jednym domkiem pomysłanym jeszcze z korzyścią dla siebie. Czy ja tego nie widzę?

Dlaczego właśnie taka inicjatywa? Pracując na Wschodzie, już się zajmowała pracą społeczną. Dlaczego akurat ma się zająć starszymi? Tego ja nie rozumiem? Czy nie wiem na co są narażeni ludzie samotni, umierający w swoich pokojach, do których sąsiedzi wyważają drzwi po kilku dniach? A może myślę, że domy opieki społecznej, to jest to o czym marzy staruszek? Tu akurat wiem, że to nie to, chociaż to lepsze od samotności. Dzieci ma dobre, ale nie chce być dla nich ciężarem zresztą może córka jeszcze zająć pokój kiedy ona już przejdzie pod opiekę?

Nie jestem ciekawa czy się uda pani Barbarze, no prostu bardzo chcę by tak było. Bo przecież u licha wszyscy są za. A więc może?

ALINA PONIATOWSKA

„Słuchajcie wy wszystkie ptaki w tym lesie”

z naszych czytelników w to nie wątpli — zaczęły się od razu. Nie rzecz w tym, że po artykułach drzwi się u pani Brzozowskiej nie zamykały, tyle osób chciało z nią połączyć swoją przyszłość po to, by samotnie nie spędzić reszty życia a przy tym być użytecznym. Z tym sobie pani Barbara poradziła. Dowód, że inicjatywa jest potrzebna.

Rzecz w czym innym. Trudności opisywała szczegółowo. Wszystkie one tkwiły nie w postawach ludzkich, ale w przepisach, ustawach i przeróżnych paragrafach, którymi obrabio nasze życie w ciągu trzydziestu paru lat prawdopodobnie po to, by naszej wspólnej własności nie rozkładać, co jak wiadomo pomogło tylko połowicznie.

Okazało się, że nie można zarejestrować zespołu bo w naszym kraju przewiduje się in-

WRN doradził jak obejść przepisy na przykład. Pani B. i jej przyjaciele wykupili kawałek działki od jej właściciela — także członka zespołu i zaczęli sami tam stawiać domki... letniskowe, bo na nic innego nie dostali zezwolenia. Domek pani Barbary kosztował 200 tys. zł i ona w nim mieszka. Musiała nająć ludzi, bo sama nie mogła pomóc budować, jeździła przecież po kraju, załatwiała. Domki sąsiadów, którzy sami budowali — nawet i 40 tys. zł. W tzw. międzyczasie członek zespołu — właściciel gruntu — umarł. Na jego gruncie miała być wybudowana jadalnia — świetlica — kuchnia. Spadkobiercy mają inne plany w stosunku do działki i do zespołu nie zamierzają wstąpić i to ich sprawa. W Beldowie nie będzie więc ośrodka. Bo w ciągu tych lat tylko jedna pani Brzozowska twardo trzy-

dawno już podleczone, które z braku miejsca, nie mając dokąd pójść, blokowały łóżka w Kochanówce. Zanim udało jej się załatwić im renty utrzymywała je sama. Jedną odesłała do domu opieki, drugą... zachorowała po kilku miesiącach ze... szczęścia.

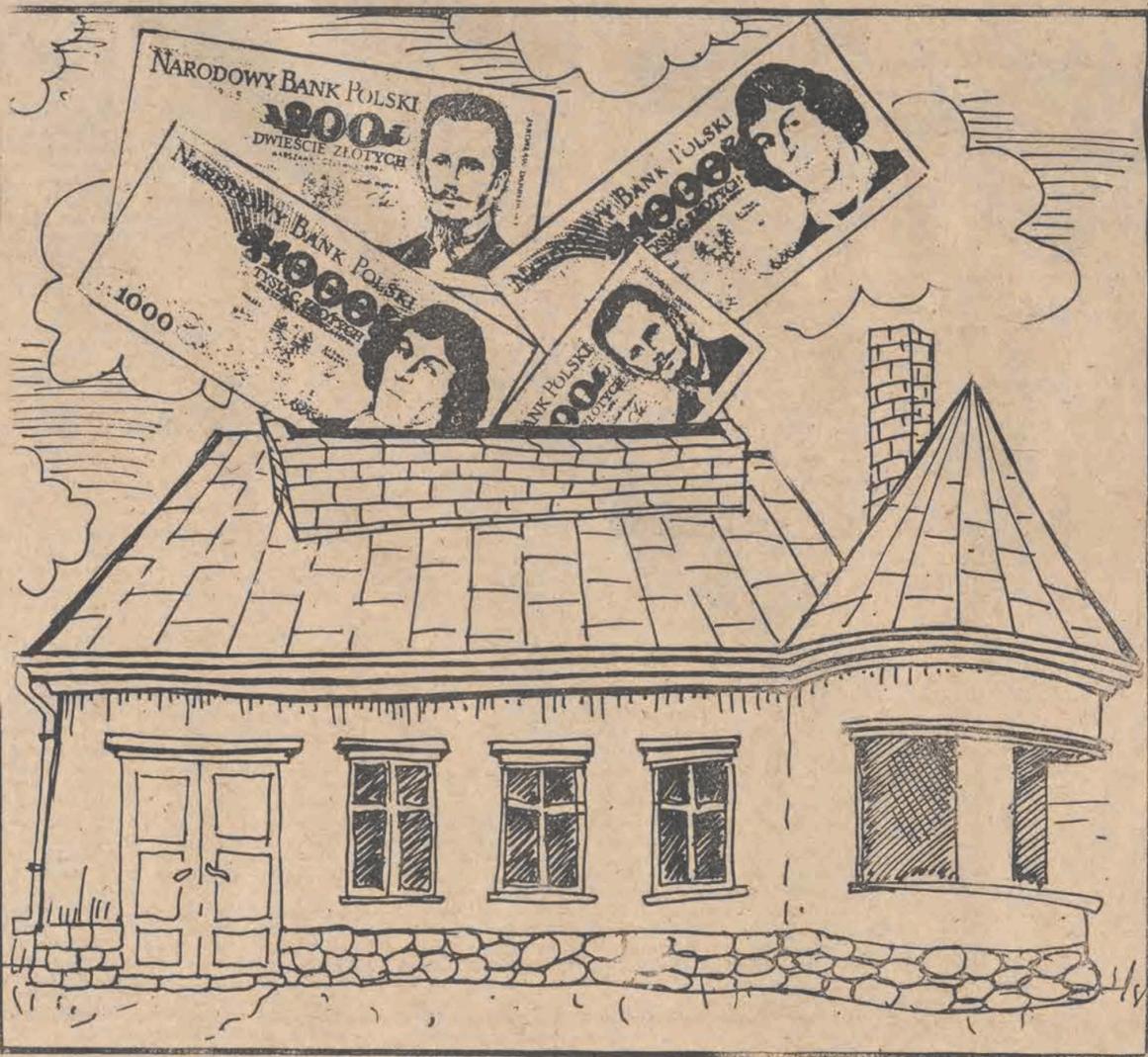
Pani Barbara przyznaje, że powinna się domyśleć, jak jej ludzie ze wsi opowiadali, że Marysia śpiewa na cały głos. „Słuchajcie wy wszystkie ptaki w tym lesie, jaka ja jestem teraz bogata, jaka wielka gospodyni, jaka mądra...”, że jest to sygnał ostrzegawczy. Powinna wiedzieć, że starszy chory człowiek nie powinien ani zbyt się martwić, ani zbyt cieszyć, bo można go zabić. Marysia uzyskała 5000 zł renty, miała własny pokój, opiekę, dobre traktowanie... tego wszystkiego było za dużo na raz...

Teraz pani Barbara robi

— (pani Barbara myślała, że to palmy i ta czystość aseptyczna będą jej rywalami) chce do... Beldowa — do skromnego pokoiku, życia niekoszarowego samodzielnego.

— Kiedy w 1971 byłam w KC to kilku panów zaczęło mnie tak wypytywać jak pani teraz... przez kilka godzin.

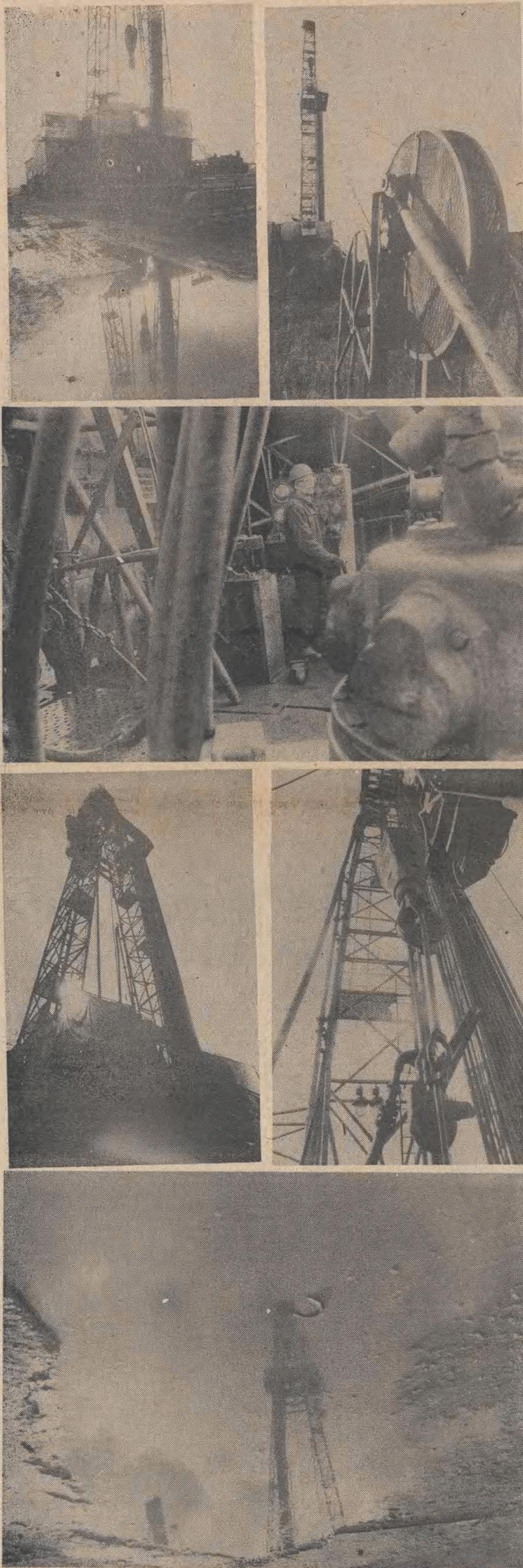
Widocznie przekonała, bo jeden z nich zadzwonił do Łodzi, — chodziło o działkę — i powiedział, załatwicie, bo to będzie taki dom, w jakim sam chciałbym mieszkać. No i wyszła ta działka letniskowa. Po-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Redakcja „Odełosów” odda w agencję niniejszą kolumne. Oczekujemy na oferty! Mile widziane referencje!

Wiertacze Pudelki



Dokończenie ze strony 1

czony wiertniczym novum mieszczuch skończyłby bezapelacyjnie w szpitalu. Blyskawicznym chwytem za poję kurtki Franek Balandynowicz uchronił mnie bowiem dwie minuty później przed runięciem w pajęczynę rur z kilkumetrowej wysokości. Na wysłizganym, gliniastym pomoście „złapałem podwójnego ritbergera” i tylko jego przytomność umysłu uratowała mnie przed dużymi skrótami w tym reportażu.

Syberiada. Kadry z tego głośnego filmu stają natychmiast przed oczami po uchyleniu brudnej firanki brezentu. Tu wycie wiatru, loskot pracujących tu obok motorów, wydzwaniane przez stalowe rury trele biją mocno w otumanione uszy.

Ludzie: Okutani w grube, zmoczone gliniastymi wytryskami kurty, w kaskach ciężkich buciarach odczyniają tu swoiste misterium. W ich gestach nie ma nic zbędnego, jest tylko pewność, szybkość, precyzja. Nie poślizną się na zabłoconych blachach pomostu. Nie ma czasu na powitania, idiotyczne „Słuchajcie chłopcy, redaktor przyjechał do nas”. Maszyny nagli, goni, dyktuje rytm. Miarowy ruch w górę i w dół potężnego elewatora, dudnienie motoru, szcęk spinanych rur. Góra, odpiąć, skrócić, w dół, góra, następnie 9 metrów, skrócić... I jeszcze raz, i znowu.

Razi w tej stalowej scenie, sylwetka jakiegoś zabłoconego faceta w kasku, usiłującego złapać równowagę na mokrych od mazi płytach. Zajdler nie rezygnuje, jest w swoim żywiole, nie musi ustawiać nikogo do zdjęcia („Panie, rękę bardziej w lewo i nie patrz pan w obiektyw...”) Bo i czasu na takie figury nie ma. Oni pracują, mają swój rytm, gdyby się i przewrócił to pewnie natychmiast by nie zauważyli. Zresztą sądząc o brudnych spodniach Mirek już „złapał” swojego „ritbergera”.

— Na bok, płuczka idzie — szarpie mnie za rękaw Balandynowicz. Wstyd jakos wobec tych twardych wiertaczy. Posłusznie odskakuje jednak za brezentową zasłonę, po której bębni już rzygnięcie strumienia żółtej mazi.

Na zewnątrz jeszcze zimniej. Parę metrów niżej w dole jakieś płuczkowe pompy i bajoro błota, w którego zawartości orientują się do jakich głębokości dotarł świder. Mój przewodnik pokazuje mi jeszcze gdzie siedzi ów prewenter. Tak, tak to pamiętam: dziś założony na 350 atmosfer „raptem”, a wszystko zależy od ciśnienia w przewiercanym złożu, toteż przy cechszynie, choć niby płycej, założyli głowiczkę na 700 atmosfer.

Pomny ostatnich poczynań, patrzę bacznie pod nogi i dopiero spod baraku zerkam za palcem przewodnika, który wskazuje mi na bocianie gniazdo, pomost, hen w górze, gdzie cały czas działa jeszcze jeden pracownik — wieżowy. To on zapina elewator na poszczególnych odcinkach rur. Zapina go w deszcz, śnieg i mróz. Dowiem się później, że po paru godzinach opadów marznącej mżawki na przykład, sam nie da rady zejść na dół. Przemoczony na wylot ubiór przypomina swą sztywnością zbroję.

Desłowskie silniki wyciągu we rżną nadal swą stałą melodię, gdy ładuję się do zacisznego wnętrza, by znów podszkolić się nieco z teorii. Za oknem zapada zmrok, wieża rozblyskuje smugami reflektorów, w których wygląda jeszcze bardziej niesamowicie. Sapiąca, zawadzająca linami, podzwaniająca klęczkami rur. Jak żywa.

Czeka na mnie jeszcze jeden z grona sympatycznych gospodarzy, geolog Mirosław Wrona. Wiek — jak wyżej, stan zastrzeżenia tą ciężką robotą — także. Przechodzę błyskawiczny kurs z dziejów ziemi, ze szcze-

gólnym uwzględnieniem ery paleozoicznej (tak, tak moi drodzy, kambr to te drobne 520—440 milionów lat wstecz, że nie wspomnę o wieku takiego młodszego nieo karbonu czy permur, bo taka jura czy eocen to zupełnie w porównaniu z nami dzieciaki...).

Rozkreślił mi wszystkie. Na wyścigi strzelają mi racany technicznych szczegółów i ciekawostek, na oczekaniu rysują, szkicują podstawowe zasady wiercen w Matce Ziemi.

Najgorsze do wiercenia są kwarcyty, anhydryty i piaskowce. W piachu czy soli w ciągu dnia „raza” po 300-350 metrów, ale już w takim twardzielu-piaskowcu, przy użyciu diamentowego świdra, na głębokości 3100-3200 metrów robią raptem: 1 metr na godzinę. Twierdzą, że tu „szli” raczej na ropę, liczyli na nią gdzieś w cechszynie, na tych głębokościach w granicach 2900 metrów, podobnie jak w Daszewie. No, ale nie było, więc darli dalej, jeszcze głębiej. Była przecież cały czas szansa na gaz, podobnie jak w „B-3”.

— Tak zwany stół, to ta wielka podstawa, na której stoją maszyny, silniki napędzają m.in. wyciąg wiertny czy własnie stół, który z kolei przenosi ruch obrotowy na narzędzia wierzące...

— Największy otwór badawczy to chyba ten w Czaplinku, gdzie przekroczone 6000 metrów. Gdzie? U nas, oczywiście...

— Najważniejsze by jak najgłębiej zabić rurami zacementować otwór. Jak najbliższe dolomitu, jako pokład gazu i ropoносnego. Żeby łatwiej było wiercić i żeby nie uciekał czasem ropa po drodze na przykład w warstwy piaskowca...

— W dołomach są te nieszcześnie solanki. To się wtedy robi taką płuczka, że „trzyma” te solanki i wierci się dalej...

— No jasne, najważniejszy jest na zmianie wiertacz; obecnie jest akurat brygada Kazimierza Ekierta. Jak tam znowu bajonkie sumy! Ludzie tylko tak sobie wyobrażają, a ci powiem, że taki wiertacz musi mocno zasuwać, by zarobić te 17-18 tysięcy, a zwykły pracownik, choćby taki pomocnik otworowego (no tak się zwie i już...) ma raptem 11-12 tysięcy. Razem z „rozłakowym” A widziałeś jaka to robota.

Przysłowiowy nos? Wiertnicza intuicja? Czy doświadczenie tylko? Dość, że różni dalej oporną skałę. Wbili się w anhydryt. Nic. Szli więc jeszcze głębiej, licząc skrycie, że gdzieś przecież na tych głębokościach był w „Białogardzie-3” gaz. Darli więc kolemo czerwony spagowiec, w którym może być gaz. Ale nie mus. Był gdzieś tam na poziomie saksonu, sęgnęli 3180 metrów, gdy raptem...

Zorientowali się natychmiast że JEST, bo na ponad pół metra z otworu wyrzuciło jak mowa — egzazowaną płuczka, Pociągnęli więc jeszcze głębiej, ale potem już wrębał się w jakieś zlepienie, gdzie znów nie było. Zeszli zbyt głęboko...

— I co teraz? Ano dziś w nocy zapinamy próbnik...

Powiedzmy sobie szczerze: „zapinamy”, czyli spuszczaemy na te trzy kilometry, specjalnymi metodami uszczelniamy, by stworzyć tam na dole w miarę naturalne warunki, wyciągamy próbki gazu, płynu czy „kamyczków” i cała zawartość wędruje do laboratorium. Trafi tam również próbnik dziś zapinany. Z gazem, na który załoga „Białogardu-2” natrafiała parę dni przed naszym przybyciem. Pozwoli to m.in. odpowiedzieć na bardzo ważne pytanie: jakie jest ciśnienie gazu w złożu. W „trójce” było około 270 atmosfer, wystarczające by eksploatować złożo. Liczą, że i tu nie będzie mniejsze. Ma jednak szczęśliwą rękę ten Pudelko. Jak firma ostatecznie zdecyduje by gaz eagnąć, to jeszcze muszą zabić w ziemię „syfonówki”, czyli rury eksploatacyjne, zamontować stosowną głowicę. I wtedy dopiero będzie to od-

wiert całą gębą. I będą jakieś tam zawsze premie. I trochę odpoczynku przed kolejną przeprowadzką. A także sporo satysfakcji, że nie na darmo tu marzną i taplają się w glinie...

Wraca rozgorączkowany Zajdler. — Stary, niesamowita sprawa, kapitalni ludzie i ta ich węża. — Mamy sporo fajnych zdjęć, wiesz, prawdziwej, ciężkiej roboty...

Wiem, znamy dobrze z przeszłości te uroczyste otwarcia, wręczęcia wstęgi, gładkie deklaracje, wyuczone na pamięć gesty i słowa, wylewano na oczekaniu asfalt na dziedzińcu (bruty nazajutrz, bo czegoś tam nie położono pod nim, etc. Tu nie było protokołu, oficjalnej meldunków o odwierceniu któregoś tam metra i nowej stołówce czy klubo-kawiarni. Była natomiast twarda, męska, codzienna harówka.

Kilka godzin później, w drodze do domu, zbaczamy nieco z trasy i wpadamy na parę minut z wizytą do dyrektora Mieczysława Kaczmarczyka z Przedsiębiorstwa Poszukiwań Nafty i Gazu w Pile. Czasu nie ma dużo, zbliża się 16, dzielmy się więc szybko wrażeniami z „Białogardu”.

— Tak, jest to kawał życia i autentycznie ciężkiej pracy. Warunki, w jakich pracują — mieliście okazję obejrzeć z bliska. Nie chcę tu narzekać, że nie mam butów dla wiertników, głupie, prozaiczne „kufajki” z trudem udało się załatwić. A różnie nas ludzie są też przez miejscowych przejmowani — to osobny problem. Po takiej melioracji co dla rolnika zostaje, po nas — rezygnacyjnie nie tylko ludzie pół życia spędzają w barakach.

— Dziś nie czas na eksperymenty, bo czas nas goni, gaz jest, a prostu bardzo potrzebny. W tym roku nasza firma wywierci około 75 tysięcy metrów piezajacych. Wierce tam, gdzie mam maksymalne szanse, największe prawdopodobieństwo trafienia, na spokojne poszukiwania nie możemy liczyć. Ale też około 40 procent otworów mamy pozytywnych, to znaczy eksploatowanych.

— Jako branża, a Pila jest jednym z czterech przedsiębiorstw o tym profilu w kraju, powinnismy rocznie drażyć ponad 430 tysięcy metrów, z tego nasza firma — to 90-100 tysięcy. Ale to znów jest sprawa odpowiedzialności do brych rur, materiałów płuczkowych, świdorów itd. Toteż główne refony naszego działania — Poznańskie, ós Szczecińskie, Kaliskie — to tematy kontynuowane. Ale jestem przekonany że w czas reformy, ośbiac dobre technicznie, pozytywne odwierty, będą mogli zrobić (mieć) należne mi odrobny, tantiemy, a te przeznaczone na nowe wiercenia, również nadawcze i poszukawcze. Bo szukać, wiercić trzeba. To może i częściowe uproszczenie, ale jednak zapotrzebowanie i choćby na gaz jest funkcja odkrywania i eksploatacji nowych zasobów, co z kolei jest znów funkcją ilości wierceń...

I oby jak najwięcej było tych „trafionych”. Choćby tylko w gaz. Choć apetyty — wiadomo. Przypomna mi się, jak przed odjazdem z „Białogardu-2” Mirek Wrona długo szukał czegoś w swym podręcznym magazynie, gdzie trzyma wszystkie wydobyte z ziemi „skarbki” — rdzenie skal z różnymi pokładami, różnych skał. Dostaliśmy po gładkim, wvranbanym przez diamentową koronkę krawku na pamiętkę. Choć wisi trochę nierówno wygląda w domu, na półce plasterek do omitu wydobyty z głębokości 2970 metrów. Przewodność słusnym „oczkiem” ropy. Od chłopaków Pudelki...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Foto: M. Zajdler